I 140.552

KAROL MAY

III

W KRAJU MAHDIEGO

POD SIUTEM

Pod Siutem. Powieść wschodnia

Karol May

Warszawska Spółka Wydawnicza Orient R. D. Z. East, Warszawa, 1927

Pobrano z Wikiźródeł dnia 10 listopada 2025

K a r o l M a y

POD SIUTEM

POWIEŚĆ WSCHODNIA

1 9 2 7

WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
ORIENT R. D. Z. EAST
W WARSZAWIE
17, PROSTA, 17

Zakł. Graf. „Bristol”, Warszawa, Elektoralna 31.

Prawo wydawania i tłumaczenia na język polski wszystkich dzieł Karola

Maya jest wyłączną własnością Warszawskiej Spółki Wydawniczej ORIENT R. D. Z. EAST w Warszawie, Prosta 17.
Wszelkie inne wydania i tłumaczenia będą prawnie ścigane.

Copyright nineteen hundred twenty seven by Warszawska Spółka Wydawnicza ORIENT R. D. Z. EAST WARSAW
Printed in Poland

POD SIUTEM

Pierwsza połowa popołudnia minęła, a drugą zamierzałem spędzić samotnie na przechadzce po mieście. To też nie zaprosiłem koniuszego, który byłby mi pewnie chętnie towarzyszył. Przeznaczone mi jednak było spotkanie, o którem nawet nie śniłem.

Wyszedłszy z dziedzińca, zwróciłem się nie ku portowi, lecz ku miastu, i doszedłem do bielonego grobowca

jakiegoś szeika. Obok grobowca był most, wiodący przez kanał. Właśnie miałem nań wstąpić, kiedy stanąłem zaskoczony niespodziewanym widokiem. Oto ujrzałem bardzo długą i bardzo cienką, biało odzianą postać, z olbrzymim turbanem na głowie, o bardzo charakterystycznym, krętym i chwiejnym chodzie. Czy dobrze widziałem, czy też uległem złudzeniu? Był to także marszałek, ale nie ten nieforemny marszałek baszy, lecz chudy i cienki, jak tyka, zarządca domu mego tureckiego przyjaciela z Kairu. I on spostrzegł mnie także i stanął.

— Selimie, czy to ty rzeczywiście? — zawołałem.

— Słusznie, bardzo słusznie! — odpowiedział swoim chrapliwym głosem, oddając mi zdaleka jeden ze swych karkołomnych pokłonów. — A czy to prawda, effendi, że to ty jesteś? W takim razie dzięki Allahowi, gdyż właśnie szukam ciebie.

— Ty mnie szukasz? Sądziłem, że jesteś u Murada Nassyra w Kairze. Jakież ważne powody musiały was skłonić do opuszczenia miasta wcześniej, aniżeli to było ułożone?

— Więc sądzisz, że Murad Nassyr znajduje się tu ze mną w Siut?

— Oczywiście!

— Mylisz się. Ja sam przybyłem, ażeby ciebie odszukać.

— Naco? Ale zaczekaj! Tu na moście nie możemy rozmawiać o tych sprawach. Chodźmy do jakiej kawiarni; to będzie najlepsze.

— Tak, to najlepsze, — potwierdził, kłaniając mi się, poczem obrócił się, aby mi towarzyszyć do miasta.

Weszliśmy do pierwszej napotkanej kawiarni i, znalazłszy jakiś cichy kącik, kazaliśmy sobie podać limonjady. Następnie zapytałem:

— A więc dlaczego przybyłeś sam, ażeby mnie tu odszukać?

— Bo mój pan mi tak kazał — brzmiała niezbyt inteligentna odpowiedź.

— Cóż go do tego skłoniło?

— Nie chce, żebyś był sam.

— Aha! Czy Murad Nassyr sądzi, że potrzebuję obrońcy?

— Nie, ale w każdym razie będzie lepiej, jeśli będę przy tobie. Byłem najsłynniejszym wojownikiem mojego szczepu i, jak wiesz, idę o lepsze z bohaterami całego świata...

— Tylko nie z upiorami — przerwałem.

— Nie żartuj, effendi! Przeciw duchom nie można walczyć strzelbą, ani nożem; tam pomagają tylko modlitwy.

— Ależ to nie były duchy!

— Przypadkowo! Przecież mogły to być rzeczywiście dusze zmarłych, których nie można zastrzelić, bo już nie żyją. Spełniałem swój obowiązek, leżąc pod bramą na czatach. Przyślij mi żywych nieprzyjaciół, choćby pięćdziesięciu, stu, nawet tysiąc! Zobaczysz, jak po bohatersku stawię im czoło! Moja odwaga podobna jest do wichru pustynnego, który wszystko obala, a przed męstwem mojem drżą nawet skały. Kiedy w walce podniosę głos swój i rękę, uciekają nawet najdzielniejsi, a moim celnym strzałom nie oprze się największy śmiałek. Dlatego to

przysyła mnie Murad Nassyr do ciebie, ażebyś żył bezpiecznie pod tarczą mojej opieki.

— Sądzę jednak, że musi być jeszcze inny powód.

— W takim razie mylisz się. Wiem tylko, że mam cię bronić.

Widziałem, że ten stary, tchórzliwy, lecz mimo to dobroduszny zabijaka mówił prawdę. Równocześnie jednak byłem pewien, że nietylko ten jeden powód skłonił Murada Nassyra do tego, że mi swego „*słusznie, bardzo słusznie!*“ przysłał. Co to być mogło? Rozmyślałem nad tem długo i szeroko, i znalazłem tylko jedną odpowiedź, która mogła być trafna: Turek mi nie dowierzał. Sądził może, że ucieknę, gdy zapłacił za mnie koszta podróży i dał nadto niewielką kwotę pieniędzy? Do takiej nieufności nie dałem najmniejszego powodu. A może obawiał się, ażebym, bawiąc w Siut sam, nie pokrzyżował jego planów kupieckich? W takim razie powinien był szczerze wobec mnie postąpić i wyjawić, co mianowicie planował. Jeśli jedno z dwojga, albo i jedno i drugie było prawdą, to Selim nie był chyba człowiekiem zdolnym do powstrzymania mnie od jakiegokolwiek czynu, który uważałbym za dobry, słuszny i wskazany. Słowem, nie widziałem już szczerości na twarzy mego grubego Turka i, kiedy patrzyłem na niego z oddalenia, zaczynała się chwiać moja ufność. Wydał mi się bardziej wyrachowanym i samolubnym, aniżeli przedtem, i zbudziło się we mnie przekonanie, że powinienem być wobec niego ostrożniejszym. Przypomniałem sobie przytem reisa effendinę, który pod każdym względem wydawał mi się mniej skryty. Dlaczego

tak zamknął się w sobie i zamilkł, kiedym mu wspomniał imię Murada Nassyra? Musiało to mieć jakąś przyczynę, jakiś powód, nietylko na tej okoliczności polegający, że emirowi wydało się, iż raz już słyszał imię tego Turka. Za kilka dni należało spodziewać się przybycia Murada, miałem więc nadzieję, że wyjaśnią mi się jego stosunki handlowe i plany. Do tego czasu musiałem się jednak pogodzić z opieką „bohatera“ Selima. Zapewne nudził się podczas moich rozmyślań, gdyż przerwał milczenie pytaniem:

— Czemu tak nagle zamilkłeś? Czyś niezadowolony, że przyjechałem?

— Wszystko mi jedno, czy jesteś tu czy w Kairze, — odrzekłem. — Obawiam się tylko, że będziesz nudził się w Siut, gdzie nie masz żadnego zajęcia.

— Żadnego zajęcia? Nudzić się? Nie sądź tak! Wszak mam być twym obrońcą, a to da mi dość zajęcia. Ani na krok nie wolno mi ciebie odstąpić; tak kazał mi mój pan, Murad Nassyr.

— Ach! Więc i mieszkać chcesz ze mną?

— Naturalnie! Gdzie zamieszkałeś?

— W pałacu baszy. Nie wiem tylko, czy cię tam zechcą dość chętnie przyjąć.

— Czy wątpisz o tem? Prawda, ty jesteś, niestety, niewiernym i nie wiesz, że Islam nakazuje swoim wyznawcom jak największą gościnność. Oprócz tego jestem największym bohaterem mojego szczepu, słynnym człowiekiem, którego nawet sam wicekról przyjąłby chętnie w swym domu. Powiem memu gospodarzowi i

przyjacielowi, że muszę ich opuścić i sprowadzić się do pałacu.

— Ach! Masz przyjaciela ze sobą?

— Tak, poznałem go na okręcie.

Wysiadł tu, ażeby razem ze mną zamieszkać.

— Któż to jest?

— Handlarz, który chce poczynić w Siut zakupy. Poczekaj chwilkę! Pójdę zaraz do niego, by go o tem zawiadomić.

— Nie śpiesz się, dopóki nie dowiemy się w pałacu, czy cię tam przyjmą.

— O to nie trzeba się dowiadywać, gdyż niema żadnej wątpliwości, że mnie przyjmą z otwartemi rękami.

— Być może, ale mimo to chcę się upewnić. Sądzę, że nic nie będziesz miał przeciw temu, że udamy się najpierw do pałacu.

— Słusznie, bardzo słusznie! Idę za tobą. Ruszajmy.

Nie było mi to wcale przyjemne — prosić, ażeby go w domu baszy przyjęto, lecz musiałem pogodzić się z tą myślą, wiedząc, iż ten „największy bohater swojego szczepu“ nie odstąpi mnie ani na krok. Zapłaciłem więc należną kwotę i ruszyliśmy ku pałacowi. Przybywszy tam, zobaczyłem grubego marszałka w tych drzwiach, w których przyjął mnie i reisa effendinę. Skłonił mi się bardzo nisko i rzucił pytające spojrzenie na mego towarzysza. Gdy wymieniłem jego imię i powiedziałem, że życzy sobie zamieszkać przy mnie, odrzekł szybko i bardzo uprzejmie:

— Effendi, zostaw go u mnie! Postąpiłem wobec ciebie nikczemnie i dlatego poszedłeś do koniuszego. Poznaję

teraz, że obecność twoja jest zaszczytem dla naszego domu, więc proszę cię, pozwól mi błąd swój naprawić.

Propozycja ta była mi bardzo na rękę i dlatego chętnie z niej skorzystałem. Mieszkając u czarnego grubasa, nie mógł Selim naprzykrzać mi się tak bardzo. On także zgodził się na to i rzekł:

— Widzisz, że miałem słuszność, effendi! Moje zalety podziwiają wszędzie i, gdziekolwiek się zjawię, zastaję otwarte drzwi domów i namiotów. Zanim jednak wejdę do tego błogosławionego domu, muszę się na krótki czas oddalić, ażeby się pożegnać z gospodarzem i towarzyszem. Niebawem ujrzycie znowu moje oblicze. Niechaj Allah przedłuży dni wasze i pozwoli wam cieszyć się jeszcze długo moją obecnością.

Poszedł. Co miałem uczynić? Zostać w domu i czekać na niego? Chciałem przejść się po mieście. Właśnie wychodziłem z dziedzińca, kiedy się zjawił koniuszy i zapytał mnie, czy może mi towarzyszyć. Zgodziłem się chętnie, a czarny grubas, usłyszawszy to, oświadczył, że gdyby się do nas nie przyłączył, ściągnąłby na siebie gniew Allaha i wszystkich kalifów. Poprosił więc mnie o kilka chwil zwłoki, dopóki nie postara się o to, żeby Selima dobrze w naszej nieobecności przyjęto. Koniuszy oddalił się także na kilka minut, aby się przygotować do drogi. Po chwili ukazali się obydwaj, odświętnie ubrani. Marszałek przyprowadził dwóch gońców i dwóch murzynów. Pierwsi mieli iść przodem z białemi laskami i torować nam drogę w razie potrzeby, a czarni mieli zamykać orszak i nieść na pokaz drogocenne fajki i kapciuchy. Dowiedziałem się

później, że marszałek chciał wydać rozkaz, ażeby ztyłu za nami służba prowadziła trzy konie, co miało być dla tłumów dowodem, że idziemy piechotą nie z ubóstwa lub braku koni; wzgląd jednak na mnie, nie posiadającego konia, odwiódł go od tego zamiaru.

Tak przechodziliśmy powoli i majestatycznie ulicami miasta, zbudowanego przeważnie z ciemnego iłowego kamienia. Co mam o niem powiedzieć? Siut, to nie Kahira. Wszystko tu takie, jak tam, tylko w mniejszych rozmiarach i z pewnemi zmianami terenu. I życie na ulicy podobne. Spotykaliśmy handlarzy wody, owoców, chleba, chłopców z osłami, posługaczy, Turków, Koptów i Fellatów, zupełnie tak, jak tam. Miasta wschodnie są do siebie nadzwyczaj podobne. W bazarach był ścisk wielki, ale nasi gońcy trącali i bili laskami tak silnie dokoła siebie, że mieliśmy zawsze wolną drogę. Uszanowanie, z jakiem witano wszędzie czarnego marszałka, było dowodem, że piastował ważne i wpływowe stanowisko. Krótka i powolna przechadzka tak go znużyła, że stękał za każdym krokiem. Wkońcu oświadczył, że z głodu i znużenia nie może iść dalej i musi bezwarunkowo wstąpić do sufry.

Sufra jest to właściwie stół do uczt, a grubas użył tego wyrazu na oznaczenie restauracji. Nie słyszałem jeszcze o takiej restauracji, więc byłem ciekawy, do jakiego zaprowadzi nas lokalu. Dał służącym, idącym naprzedzie, rozkaz. Skręcili w boczną uliczkę i stanęli, jak szyldwachy, po obu stronach bramy jednego z domów. Weszliśmy na mały, otwarty dziedziniec, na którym leżało kilka szeregów poduszek. Tam siedzieli już goście. Każdy z nich miał

przed sobą glinianą miskę, do której sięgał obiema rękami. Czystości nie wymagano tu widocznie, bo brud uderzał z pierwszego wejrzenia. Oprócz tego panował tu taki odór starej oliwy, że, gdybym nawet był głodny, straciłbym odrazu apetyt.

Marszałek potoczył się w próżny kąt i usiadł tam na poduszce. Ponieważ koniuszy poszedł za jego przykładem, uczyniłem to samo. Jeden z brudnych kelnerów przyszedł nas spytać o rozkazy. Czarny grubas odpowiedział podniesieniem trzech palców wgórę.

— Dla mnie nie trzeba! — rzekł koniuszy. — Ja nie jem.

Teraz wiedziałem już, co mają znaczyć trzy palce. Oznaczały mianowicie trzy porcje. Oświadczyłem więc czem prędzej, że ja także nic jeść nie będę.

— Mimo to trzy! — rozkazał grubas, podnosząc trzy palce. Niebawam przyniesiono to, czego żądał; miało to zielonawo-brunatną barwę i wyglądało jak namuł. Przypatrzyłem się tej potrawie z uwagą, wciągnąłem w nozdrza przejmujący zapach, ale napróżno; nie mogłem zgadnąć, co to było.

— Zrób mi tę przyjemność i spróbuj! — wezwał mnie marszałek, przysuwając mi jedną z trzech misek.

— Dziękuję ci! Ciało moje nie potrzebuje teraz pokarmu. Niech tobie służy!

— Zapewniam cię, że wszyscy chętnie tę potrawę spożywają, bo jest źródłem rozkoszy. Mąka soczewiczna gotowana w oliwie. To czyni duszę zdolną do najczystszych uczuć i uzbraja serce przeciw wszelkim cierpieniom świata.

Wymawiając te słowa, sięgnął tłustą, czarną ręką do

miski, utoczył kulę i przysunął mi ją do ust z zachętą.

— Masz, spróbuj!

— Zatrzymaj ją sobie! — odrzekłem, usuwając jego rękę. — Niechaj się oczyszczą twoje uczucia i uzbroi serce!

Wsunął kulę do ust i rzekł zadąsany:

— Wy, chrześcijanie, nie wiecie jednak nigdy, co czynicie. Przecież Ezaw sprzedał swoje pierworodztwo za misę soczewicy na oliwie. Ale ty o tem nie wiesz.

— Tę historję z soczewicą opowiada nasza biblja. Mahomet przepisał ją tylko stamtąd; ale w naszem Piśmie Świętem niema nic o tem, żeby soczewica była gotowana na oliwie.

— Niema tego rzeczywiście? W takim razie prorok był bardzo rozumny, że napisał to dla nas. Więc ty znasz także koran? Tak, ty jesteś człowiekiem uczonym. Znasz wszelakie sposoby leczenia żołądka, ale nie wiesz, co smaczne.

Wsuwał w usta jedną garść tego przysmaku po drugiej i wypróżnił w ten sposób pierwszy, potem drugi, a wkońcu trzeci talerz. Wyczyścił je następnie, jak źle wychowane dziecko, palcem wskazującym, który oblizał. Podczas tego zajęcia brał także żywy udział w rozmowie mojej z koniuszym, który, jak się okazało, był żądnym wiedzy człowiekiem. Ponieważ udało mi się poskromić konia, przypisywał mi wszystkie inne zdolności i zadawał jedno pytanie po drugiem, a ja musiałem mu na nie odpowiadać.

Powracając do domu, ujrzeliśmy sprowadzone umyślnie ślepe dzieci, siedzące pod bramą. Widok ich był zarówno wzruszający, jak wstrętny. Oślepłe oczy puchną, tworząc

jątrzące się półkule, na których wiodą swój żywot muchy i inne owady. Choroba to zaraźliwa i przechodząca z oka na oko, z osobnika na osobnika. Dzieci otrzymały pieniądze, poczem je wyprowadzono. Żart, na który pozwoliłem sobie względem grubasa, nie obciążył mi bynajmniej sumienia. Miał on takie dochody, że mógł śmiało wydać tę małą kwotę na pożałowania godnych ślepców.

Wkrótce potem zmierzch zapadł i zaczęło się szybko ściemniać. Zaproszono mnie na wieczerzę, którą koniuszy ze mną spożył. Spytał mnie wprawdzie, czy ma wezwać także mego towarzysza, oświadczyłem mu jednak, że Selima nie można właściwie nazywać w ten sposób, gdyż jest tylko sługą mego przyjaciela. Nie zależało mi na tem, żeby tego długiego człowieka mieć nieustannie przy sobie, a koniuszy nie miał także ochoty widzieć u siebie tak miernej osobistości.

Po wieczerzy zaprosił mnie mój gospodarz na partję szachów. Poustawialiśmy właśnie figury, kiedy na dworze powstał niezwykły hałas. Kilka głosów krzyczało równocześnie, lecz słów nie można było zrozumieć. Sądząc, że zaszedł jaki nieszczęśliwy wypadek, wybiegliśmy na dziedziniec przed stajnię. Stało tu kilku parobków, oraz paru innych domowników, którzy patrzyli w niebo i wołali:

— Zaćmienie księżyca, zaćmienie księżyca!

Tak było rzeczywiście; księżyc zaciemniał się. Nie wiedziałem o tem, że należy spodziewać się zaćmienia. Była pełnia, a szary cień ziemi zakrywał powoli tarczę naszego trabanta. Należało wnosić, że zaćmienie nie będzie

zupełne. Mimo to zaszedł cień tak daleko, że tylko wąski sierp księżyca pozostał odsłonięty. Zjawisko to przejęło wszystkich mieszkańców pałacu nieopisanym strachem. Najpierw wypadł, sapiąc, gruby marszałek, a za nim Selim.

— Effendi, — zawołał pierwszy, zobaczywszy mnie, czy widzisz, że księżyc znika? Powiedz mi, co to oznacza?

— To oznacza, że ziemia stoi między słońcem a księżycem i rzuca cień swój na niego. To jest powodem zaćmienia.

— Między słońcem a księżycem? Rzuca cień swój? Czy widziałeś go już kiedy?

— Widziałem go już nieraz, a w tej chwili widzę znowu.

— Effendi, jesteś źródłem mądrości i studnią wiedzy, lecz o słońcu, księżycu i gwiazdach nie wolno ci mówić. O nich nic nie wiesz! Czyż nie słyszałeś, że to szatan osłania księżyc?

— Tak sądzisz? A nacóżby on to czynił?

— Ażeby nam zapowiedzieć nieszczęście. To wróżba nieszczęścia dla całego świata, a szczególnie dla mnie.

— Dla ciebie? A cóż ty masz wspólnego z tem zaćmieniem?

— Wiele, bardzo wiele! Czy widzisz ten amulet u mnie na szyi? Noszę go dla ochrony przed zaćmieniem księżyca.

— Zaćmienie księżyca — to całkiem naturalne zjawisko. A gdyby nawet groziło jakiemś niebezpieczeństwem, to amulet zapewnie nie ochroniłby cię przed niem.

— Mówisz tak, bo jesteś chrześcijaninem, a nie muzułmaninem. Co chrześcijanin może wiedzieć o księżycu? Jaki jest znak chrześcijaństwa? Czyż nie krzyż?

— Rzeczywiście.

— A znakiem islam u jest półksiężyc. Musimy więc o księżycu więcej wiedzieć, niż wy; to jasne. A może mi tego nie przyznajesz?

Ten argument był z jego stanowiska słuszny, musiałem go więc pobić tą samą bronią, i dlatego odpowiedziałem:

— Nie, nie przyznaję ci tego wcale. Czy waszym znakiem jest nów, czy pełnia księżyca?

— Tylko półksiężyc.

— Więc mów, jeśli chcesz, o pierwszej i ostatniej kwadrze, ale nie o nowiu i pełni, a dziś jest pełnia. No, cóż ty na to?

Stropił się, spojrzał na mnie z otwartemi ustami, a potem odrzekł:

— Effendi, w tem nie mogę ci się oczywiście sprzeciwić! Nowiu nie widziałem wogóle.

— Więc nie twierdź, że rozumiesz się na księżycu. Kto nawet jeszcze nowiu nie widział, ten nie może sądu wydawać o zaćmieniu księżyca. Zresztą, nawet półksiężyc nie jest prawdziwym pierwotnym znakiem islamu.

— A cóż?

— Szabla, krzywa szabla Muhammeda. Kiedy wasz prorok w miesiącu ramadhan, drugiego roku hedżiry, wydał mekkańczykom pierwszą wielką bitwę, nasadził swoją szablę na żerdź i kazał ją nieść na czele jako sztandar. Poprowadziła ich ona do zwycięstwa i odtąd uważano ją za sztandar wojenny. W późniejszej walce odbito rękojeść szabli i zostało tylko krzywe żelazo, przedstawiające kształt księżyca. To skłoniło kalifa Osmana do przyjęcia

półksiężyca za symbol całego państwa islamu.

— *Allah, Allah!* Effendi, ty znasz wszystkie głębie historji i wszystkie tajniki religji! — zawołał.

— Oraz wszystkie szerokości, wysokości i głębokości księżyca — dodałem. — Jest on 380.000 kilometrów oddalony od ziemi, jego średnica wynosi 3480 kilometrów, jest więc pięćdziesiąt razy mniejszy od ziemi, a najwyższa góra na nim ma 7200 mtr.

Na to zamilkli wszyscy stojący dokoła. Ponieważ w Egipcie, jak wogóle w całej Turcji, liczy się na metry, więc ludzie ci zrozumieli wymiary, lecz nie wierzyli, żeby je wogóle można było podać. Spojrzenia ich zwróciły się z księżyca na mnie, dał się słyszeć pomruk, poczem grubas zawołał:

— Niech Allah pozwoli ci długo żyć i oświeci twój rozum! Powiedz mi, zaklinam cię na życie, na ojca twego i na brody wszystkich przodków twoich, czy mówisz na serjo?

— Wcale nie żartuję.

Potrząsnął głową i spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Co miałem uczynić? Do zrozumienia moich wywodów brak im było najpotrzebniejszych wiadomości, więc zarówno czarnego, jak i drugich nie byłem w stanie przekonać. Zaczęli więc odmawiać dla usunięcia złych skutków zaćmienia mnóstwo zdań z koranu i lamentowali przytem tak długo, dopóki zaćmienie nie przeszło. Nawet i potem nie okazywali wesołości, sądzili bowiem, że skutki zaćmienia okażą się dopiero teraz. Długi Selim zwrócił się do mnie, sądząc, że zawezwę go, aby mnie do domu

odprowadził, powiedziałem mu jednak, że pójdę teraz spać, więc udał się z grubasem do jego mieszkania. — — —

Nazajutrz, po śniadaniu, przyprowadzono konie. Umówiona przejażdżka odbyła się w większem towarzystwie, aniżelim się spodziewał. Marszałek nie omieszkał przyłączyć się do nas, a Selim twierdził, że musi także jechać z nami, gdyż jest moim obrońcą i powinien mnie chronić przed upadkiem z konia. Zapewniałem go wprawdzie, że obawy są zbyteczne, lecz odpowiedział:

— Effendi, jestem największym bohaterem i jeźdźcem mojego szczepu, ty zaś jesteś Frankiem i nie widziałem cię jeszcze nigdy na koniu. Jeśli skręcisz kark, ja będę za to odpowiadał. Dlatego nie odstąpię cię i nie spuszczę z oka.

— Czyż jesteś rzeczywiście tak doskonałym jeźdźcem?

— Nikt mi jeszcze w jeździe konnej nie dorównał — odpowiedział z głębokim ukłonem.

— Więc spodziewam się, że słowa dotrzymasz. Gdybyś Opuścił mnie choćby na chwilę, poskarżę się twojemu panu, że jesteś lichym obrońcą, na którego liczyć nie można.

— Uczyń to, uczyń! Moja moc i troskliwość unosić się będą nad tobą nawet wtedy, gdyby cię porwał razem z koniem wicher pustyni. Gnałbym w zawody ze złemi duchami samumu.

Powiedział to z taką pewnością siebie, jakgdyby już kiedy ścigał się ze wszystkiemi wichrami pustyni, a ja cieszyłem się zgóry na myśl o zawstydzeniu, które go czekało.

Było nas zatem sześciu: marszałek, koniuszy, Selim, ja i

dwaj parobcy, którzy nam towarzyszyli. Jechaliśmy powoli przez miasto na wzgórza ku grobom skalnym. Przybywszy na te wzgórza, odgraniczające dolinę Nilu od pustyni libijskiej, ujrzeliśmy rozległą piaszczystą równinę, różowiącą się przed nami w promieniach słońca. Zjeżdżaliśmy z góry powoli i dopiero, kiedy znaleźliśmy się już na dole, rzekł koniuszy:

— Teraz cwałem, effendi! Mamy dość miejsca na pustyni.

Ścisnął konia ostrogami i popędził.

Muszę Selimowi wystawić świadectwo, że dotychczas dotrzymywał słowa i nie odstępował od mego boku. W jego wzroku i twarzy malował się wyraz dumnego zadowolenia; zdawało mu się, że jeździ o wiele lepiej ode mnie. Miało to swoją przyczynę. Oto koń mój, wydostawszy się na gościniec, chciał zaraz ze mną pędzić, ściągnąłem mu jednak cugle tak ostro i tak silnie ścisnąłem go kolanami, że musiał poskromić swoją niecierpliwość. Usiłowania tego nikt nie zauważył, a ponadto siedziałem na siodle za przykładem myśliwców prerjowych w ten sposób, że nogi miałem podane wtył, a korpus cały pochylony naprzód. Nie przedstawia ta pozycja zbyt pięknego widoku, ale jest wygodna dla jeźdźca. Przenosząc ciężar ku przodowi ciała końskiego, zapewnia zwierzęciu znacznie większą swobodę ruchów. Reszta towarzyszów siedziała po arabsku dumnie i prosto z wyjątkiem marszałka. Zdawało się więc wszystkim, że są lepszymi jeźdźcami ode mnie. Selim jeździł nieźle i miał niezłego konia, więc nic dziwnego, że na mnie trochę z góry spoglądał. Kiedy puściliśmy się w

cwał, chciał mój ogier rozwinąć całą swą rączość. Powstrzymałem go jednak i z tego powodu zostałem z Selimem wtyle. Obydwaj parobcy mieli jechać wprawdzie za nami, zniecierpliwili się jednak dość prędko, minęli nas i popędzili naprzód.

— Prędzej, prędzej, effendi! — zawołał Selim do mnie. — Musimy ich doścignąć, bo nas wyśmieją.

— Nie możemy, bo spadnę, — odpowiedziałem.

— *Allah, Allah!* Jak możesz mówić coś podobnego? Zawstydzasz mnie najokropniej. Ci ludzie mogą pomyśleć, że nie umiem jeździć konno, a przecież jestem najśmielszym jeźdźcem ze wszystkich plemion pustyni. Niestety, muszę zostać przy tobie, lecz zato przynajmniej widzisz, że bez mojej opieki zmarniałbyś tutaj.

— Tak. Muszę to przyznać niestety.

— Słusznie, bardzo słusznie! Powiedz to memu panu, kiedy tutaj przybędzie! To świadectwo dowiedzie mu ponownie, że jestem człowiekiem nie do zastąpienia, Ale jedź-że prędzej, prędzej! Nie bój się, nie pozwolę ci upaść i pochwycę cię, gdy tylko stracisz równowagę.

Ażeby go jeszcze bardziej utwierdzić w mniemaniu, że jestem zupełnie lichym jeźdźcem, przybrałem najgłupszą pozycję. Zsuwałem się to na jedną, to na drugą stronę i udawałem wogóle, że tylko z największym wysiłkiem utrzymuję się na siodle. Selim wydawał rozmaite okrzyki, które skrycie sprawiały mi przyjemność, i wyrzekał ustawicznie na to, że zostawaliśmy coraz bardziej wtyle. Tamci wyprzedzali nas istotnie, a odległość zwiększała się z każdą sekundą. Tylko gruby marszałek nie mógł nadążyć i

znajdował się między nimi a nami. Widziałem już niejednego niezręcznego jeźdźca, lecz takiej figury na koniu dotąd jeszcze oczy moje nie oglądały. Po pierwsze, jeździł źle, a powtóre, cała jego bezkształtna postać nie była stworzona do siodła. Odpowiednio do swego ciężaru wyszukał sobie bardzo ciężkiego konia, którego wysiłki, ażeby reszcie koni dotrzymać kroku, pobudzały mnie do uśmiechu. Na grzbiecie tego zwierzęcia siedziało czarne monstrum z odstającemi nogami i skurczonym korpusem. Koń podrzucał potężnie, wprawiając jeźdźca w ruch, zwany przez dobrze jeżdżących gauchów południowo-amerykańskich „*el molinillarse à la silla*“ t. zn. „*wiercić się na siodle*“. Murzyn starał się siedzieć w siodle jak najmocniej i zmuszał konia do szybkiego biegu, ale napróżno. Był to widok istotnie śmieszny.

Koniuszy i parobcy wyprzedzili nas tak bardzo, że wreszcie postanowili się zatrzymać i na nas zaczekać. Grubas dojechał do nich nieco wcześniej, niż my. On sam stękał i koń jego sapał, jakby już całe godziny gnali przez pustynię.

— Cóżto, effendi? — spytał koniuszy. — Zostałeś wtyle?

— Nie umie jeździć konno — odpowiedział Selim za mnie.

— Ależ! Widzieliśmy wczoraj, jak poskromił naszego szpaka.

— Udało mu się to dzięki daktylom, któremi konia nakarmił. Przynęcić konia do siebie umie, to prawda, ale jeździć nie. Gdybym się nim nie był zaopiekował, byłby z

dziesięć razy kark skręcił i nogi połamał. To okropność takiemu jeźdźcowi towarzyszyć!

— Bardzo słusznie — wtrąciłem. — Ale dlatego, że to takie okropne, nie zdołasz już dłużej prawdopodobnie w mojem towarzystwie wytrzymać.

— Co ty mówisz! — zawołał. — Czyż nie wytrzymałem przy tobie? A może to ty dla mnie zostawałeś wtyle? Jeśli tak, to zrób mi tę łaskę i jedź trochę prędzej!

— O, nie doścignąłbyś mnie.

— O Allah! Nie było dotychczas jeźdźca, któregobym nie doścignął. Założymy się?

— Dobrze, a o co? — Ty masz złotówki z Anglji; widziałem je u ciebie. Nazywają się funtami, a mają wartość przeszło stu piastrów. Czy postawisz przeciwko mnie taką złotówkę?

— A czy ty masz je także? — spytałem.

— Nie, ale mam dość piastrów, aby postawić to samo. No, zgoda?

— Tak. Wyjmuj pieniądze! Sto piastrów i funt angielski. Oddamy to koniuszemu, a kto zwycięży, ten dostanie od niego wszystko. Czy zgadzasz się na to?

— Zgadzam się, zupełnie się zgadzam! — rzekł, krząkając z zadowoleniem. — Za kilka chwil będzie blask twych pieniędzy w mojej kieszeni. Jestem śmigły, niepokonany i nikt mnie nie doścignie, a ty już najmniej.

Koniuszy dostał pieniądze i ruszyliśmy. Z początku hamowałem mego szpaka, ażeby Selim przez pewien czas mógł trzymać się mego boku.

— Widzisz, że wygram? — spytał z triumfem.

— Zaraz zobaczysz coś przeciwnego. Bądź zdrów Selimie; za dwie minuty stracisz m nie z oczu zupełnie!

Teraz popuściłem ogierowi cugli. Koń z upragnieniem tego oczekiwał. Zarżał głośno, zerwał się wgórę wszystkiemi czterema nogami i popędził tak, że nierutynowany jeździec dostałby pewnie zawrotu głowy. Nie chciałem użyć ostróg, bo dla tego szlachetnego zwierzęcia byłaby to zbyt szorstka podnieta. Szepnąłem mu tylko do ucha kilka słów zachęcających i koń zrozumiał mnie znakomicie. Towarzysze ruszyli za mną z krzykiem, lecz głosy ich słabły szybko, gdyż pustynia znikała formalnie pod kopytami mojego szpaka. Kiedy w minutę potem popatrzyłem za siebie, ujrzałem jeźdźców wielkości dzieci, kołyszących się na koniach z biegunami. Po upływie drugiej minuty wyglądali już tylko jak małe kropki, a następnie zniknęli całkiem. Teraz mogłem się już zatrzymać, wolałem jednak w pełni użyć rozkoszy cwałowania na takim koniu, i pędziłem dalej. Zwierzę cieszyło się tak samo, jak ja. Rżało głośno od czasu do czasu z radości, a kiedy głaskałem je po szyi, wydawało głęboki głos piersiowy, którego nie jestem w stanie opisać, chociaż go — znam tak dobrze. Jest to głos zachwytu.

Tak jechałem ze trzy kwadranse w głąb pustyni, która wynurzała się przede mną ustawicznie na nowo, a za mną znowu niknęła. Zatoczyłem wielki łuk na prawo. Należało się spodziewać, że wszyscy podążą za moim śladem, i chciałem ich wystrychnąć na dudków. W pół godziny potem dopełniłem łuk do okręgu i wpadłem na własny trop. Poznałem po śladach kopyt, że moi towarzysze już tędy

przejechali i podążyłem za nimi. Wkrótce też dostrzegłem ich przed sobą, a oni sądzili niewątpliwie, że znajdują się daleko za mną. Im bardziej się do nich zbliżałem, tem dokładniej widziałem, że starali się rozwinąć szybkość jak największą. Mimo to trzymali się razem, gdyż lepsi jeźdźcy wstrzymywali konie, by nie wyprzedzać drugich. Ponieważ całą swoją uwagę zwrócili przed siebie, nie spostrzegli mnie, dopóki nie zbliżyłem się do nich na odległość dwudziestu długości konia i nie zawołałem:

— A wy dokąd?

Usłyszawszy mój głos, spojrzeli poza siebie i zdumieli się nie mało. Zanim zdołali osadzić konie na miejscu, byłem pomiędzy nimi. Gruby marszałek pocił się jak szyba w zimie i sapał jak maszyna parowa.

— Skąd przybywasz, effendi? — spytał z miną tak głupią, że musiałem się roześmiać.

— Stąd — odrzekłem, wskazując za siebie. — Czynię tak samo, jak słońce; zapadam na zachodzie, a wynurzam się na wschodzie.

— Jak to zrozumieć? Jechalibyśmy tak twoim śladem aż na koniec świata?

— Tak daleko chyba nie, bo mój ślad byłby was odprowadził napowrót. Ale teraz widzisz, co to za biegun z tego ogiera Bakarrów. Dziwię się, że koniuszy był na tyle nieostrożny, że mi na nim jeździć pozwolił.

— To ma być nieostrożność? Przeciwnie! Przez to, że go ujeździsz, przyzwyczaisz go także do noszenia mnie i baszy.

— Całkiem słusznie, ale gdybym go tak ukradł?

— Ukradł! — zawołał, blednąc ze strachu.

— Tak, ukradł. Przypuśćmy tylko, żebym nie wrócił, — cóżbyś uczynił? Zdołałbyś mnie doścignąć?

— Nie, nie! *Ąllah, Allah!* W jakiemże znajdowałem się niebezpieczeństwie!

— Nie byłeś wcale w niebezpieczeństwie, bo ja nie jestem złodziejem. Wiedz jednak, że ten ogier wart sto tysięcy piastrów, a to mogłoby w pewnych okolicznościach skusić do popełnienia kradzieży nawet rzetelnego człowieka.

— Masz słuszność, tak, masz słuszność, effendi! O Allah, o święci kalifowie, cóżby się ze mną stało, gdybyś był ukradł konia! Nie zdołałbym za niego zapłacić, a basza, którego życie niechaj wiecznie jaśnieje, kazałby mnie na śmierć zaćwiczyć. Już zostanę przy tobie!

— Nie dokazałbyś tego, gdybym chciał zemścić się za twoją nieufność. Ale jakże tam z naszym zakładem. Któż wygrał?

— Oczywiście, ty!

— No to daj mi wygrane pieniądze. Niechaj ten Selim, który nazwał siebie najśmielszym jeźdźcem pustyni, powie teraz jeszcze raz, że nie umiem jeździć konno, i że bez jego opieki musiałbym kark skręcić.

Kiedy schowałem do kieszeni pieniądze, które mi koniuszy wręczył, długi Selim przybrał minę, jakgdyby spotkało go największe w świecie nieszczęście, i powiedział:

— Effendi, jesteś rzeką dobroci i źródłem miłosierdzia. Ty zaświadczysz o mnie, że nie mogę opiekować się tobą,

jeśli niema cię przy mnie, i że jestem biednym sługą oraz pożałowania godnym niewolnikiem pana mojego Murada Nassyra.

— Sądzę, że jesteś jego i moim opiekunem?

— O nie! — zaprzeczył czem prędzej. — Jestem najuboższym człowiekiem z pomiędzy synów wszystkich szczepów i osad. Jestem jako powietrze, którego nikt nie widzi, i jako zeschłe ziarnko ryżu w pustyni. Jestem najczystsze nic, a jeśliby Allah zajrzał do mojej kieszeni, nie znalazłby tam nic, prócz pojęcia ubóstwa. Jeden piaster to dla mnie majątek, a jego utrata skraca mi życie i osłania duszę grozą beznadziejności.

Wiedziałem zaraz po pierwszych jego słowach, do czego zmierzał, lecz udałem, że go nie rozumiem, i odrzekłem:

— W takim razie dam ci dobrą radę, dzięki której zbierzesz sobie wielkie bogactwa. Zakładaj się tak często, jak tylko możesz, a szczególnie z jeźdźcami. Ponieważ jesteś najśmielszym jeźdźcem swojego szczepu i nawet z samumem idziesz w zawody, z łatwością wygrasz każdy zakład i w krótkim czasie zostaniesz bardzo bogatym człowiekiem.

— Effendi, nie żartuj! — prosił płaczliwie. — Nie przypuszczałem, żeby dusza twoja mogła nabiegać taką złośliwością. Jestem najlepszym jeźdźcem pustyni, to prawda, ale właśnie nie mam szczęścia w zakładach. Mojem przeznaczeniem, mojem kismet jest to, że zawsze przegrywam.

— W takim razie nie zakładaj się nigdy.

— Ja też nigdy nie zakładam się chętnie, ale czasem

trudno mi się wymówić. Podobnie było także tym razem. Tylko uprzejmość, poważanie i miłość, jaką dla ciebie żywię, skłoniła mnie do postawienia stu piastrów przeciwko twojemu funtowi. Nie chciałem cię obrazić, przeciwnie, chciałem ci okazać moje poświęcenie. Czyż będziesz teraz mniej wielkodusznym ode mnie? Czy chcesz żyć krwią ubóstwa i spożywać nędzę ubogiego? Kto pochłonie piastra żebraka, tego w piekle palą dwa razy mocniej, niż innych winowajców. Pamiętaj o tem!

— No, możesz łatwo odzyskać swoje pieniądze, jeśli się przyznasz zgodnie z prawdą, że nie jesteś stworzony na mojego obrońcę.

Był to warunek ciężki; nie chciał się ośmieszyć, a nie miał też ochoty wyrzec się pieniędzy, których zresztą nie zamierzałem zatrzymywać. Dlatego najpierw zapytał:

— Jeśli nie możesz mi postawić innego warunku, to przyznaję, że nie potrzebujesz mojej opieki.

— To wykręt! Musisz się przyznać, że nie jesteś człowiekiem, który mógłby się mną opiekować.

— Effendi, jesteś okrutny, ale ja będę uprzejmy i spełnię twe życzenie. Nie mogę się opiekować tobą. Czy jesteś zadowolony?

— Tak. Masz tu swoich sto piastrów, i przypuszczam, że nie przyjdzie ci już nigdy ochota zakładać się ze mną.

Schował szybko pieniądze i w tej chwili przybrał inną minę, mianowicie jedną ze swoich min protekcyjnych, i odpowiedział:

— O jazdę konną może już nie, zwłaszcza w tych okolicznościach; jeżeli jednak jesteś sprawiedliwy, musisz

przyznać, że właściwości mojej osoby posiadają władze nad sercami wiernych i niewiernych.

Trudno było gniewać się na tego niepoprawnego fanfarona. Blaga tego człowieka nikomu nie przynosiła szkody, a tak odpowiadała jego całej istocie, że bez niej byłby może nieznośny.

Powróciliśmy do miasta, lecz nie tą samą drogą, którą wyjechaliśmy z domu, gdyż koniuszy chciał mi pokazać *Tell es sirr*[1], o którym twierdził, że tam znajduje się wejście do piekła.

Góry Libijskie ciągnęły się długiem, ale niskiem pasmem wpoprzek linji naszego wzroku. W pewnem oddaleniu od tego łańcucha stało na równinie okrągłe wzgórze, podobne do kupy piasku. To był „wzgórek tajemnicy“.

— Jakże zbadano tajemnicę, że tu znajdują się wrota piekieł? — zapytałem koniuszego.

— Nie wiem. Dowiedziałem się o tem od drugich, którzy znowu słyszeli od innych.

— Czy znana jest nazwa „Tell es sirr“?

— Nie wszystkim, gdyż nikt nie lubi mówić o tem miejscu. Kto o niem cośkolwiek zasłyszał, mija je zdaleka. Ale ty jesteś synem wiedzy, ocaliłeś mego syna przy pomocy życiodajnego płynu i chętnie patrzysz na wszystko, co godne widzenia, więc zwróciłem twoją uwagę na to miejsce pustyni.

— Dziękuję ci, i bezzwłocznie pojadę na szczyt tego wzgórka.

— Nie czyń tego, effendi! Jeżeli *szeitan*[2] znajduje się właśnie wpobliżu, wysunie z ziemi pazur i wciągnie cię do piekła. Już niejeden śmiałek tam zniknął i ludzkie oko nie widziało go potem.

— Być może, ale to nie sprawka szatana, widocznie są tam jakieś jaskinie, do których ci ludzie powpadali.

— Nigdy tam żadnej jaskini nie widziano.

— Naturalnie, bo przysypuje je piasek pustynny. Wiatr wieje z zachodu na wschód i pędzi nieustannie piasek w tym kierunku. W ten sposób wypełniają się szybko zagłębienia w ziemi.

— Wyjaśniasz mi to, wedle swojej wiary, my jednak jesteśmy wyznawcami proroka, i unikamy paszczy, piekielnej. Jeśli chcesz rzeczywiście dostać się na wzgórek, to musisz wyrzec się naszego towarzystwa. Zostaniemy na dole i zaczekamy na ciebie.

Przed nami wznosił się Tell es sirr, mały stożek piaskowy o wysokości najwyżej pięćdziesięciu łokci. Zsiedliśmy z koni i zabrałem się do wchodzenia na wzgórek. Nie sprawiało mi to wielkiej trudności, gdyż nie był stromy, tylko piasek był tak miałki i sypki, że miałem wrażenie, jakobym brodził w mące. Aby poznać to wzgórze ze wszystkich stron, nie wchodziłem po linji prostej, lecz ślimacznicą; nie odkryłem jednak nic godnego uwagi. Przybywszy na szczyt, stałem w czystym piasku; dokoła mnie nie było wogóle nic, prócz piasku. Któż odgadnie, w jaki sposób powstała głupia wieść, jakoby tu znajdowało się wejście do piekieł? W okolicy Siut znajdowały się grobowce, więc może i wpobliżu tego wzgórka były jakie

doły grobowe. Ktoś załamał się, wpadł do wnętrza i w tej chwili wiadomość o wypadku połączono z tajemnem działaniem piekieł. Pod sobą widziałem towarzyszy, stojących nieopodal wzgórka. Mój długi Selim zapomniał już widocznie o porażce otrzymanej ode mnie, gdyż dosiadł konia i jął wykonywać rozmaite skoki i zwroty. Za jego przykładem poszedł także gruby marszałek, który wdrapał się na swego ciężkiego szlapaka, chcąc te same sztuki pokazać. Jak się dowiedziałem później, powstał między nimi spór, który z nich jest lepszym jeźdźcem. Domyśliłem się tego zaraz i stanąłem, aby się przypatrzyć manewrom grubasa.

Puścił konia stępa kilka kroków, poczem chciał go zmusić, żeby przednie nogi podniósł wgórę, a na zadnich obrócił się wkoło. Koń był jednak na to za ciężki i nie miał ochoty do tak zbytecznego wysiłku. Jął się więc bronić, wierzgać kopytami, bić niemi o ziemię i... zapadł się nagle tylnemi nogami. Rzucił się jeszcze raz, wykonał potężny skok i stanął dęba, a wtedy grubas stracił równowagę, spadł wtył i zniknął mi z oczu, zapadłszy się w ziemię bez śladu.

Tyle zdołałem zobaczyć z mego odległego stanowiska. Pozostali ryknęli ze strachu, jak lwy, i czem prędzej uciekli z niebezpiecznego miejsca Zbiegłem ze wzgórka już nie ślimacznicą, lecz w stej linji, a kiedy dostałem się nadół, zawołał do mnie koniuszy:

— Widzisz, że miałem słuszność, effendi! Tu jest wejście do piekła i ono to pochłonęło marszałka. Wczorajsze zaćmienie było groźbą tego nieszczęścia!

— Słusznie, bardzo słusznie! — potwierdził Selim. —

Marszałek runął do piekła i będzie się tam smażył po wszystkie wieki.

— Nie mów głupstw! — zawołałem. — Nie ulega wątpliwości, że w tem miejscu znajduje się pod ziemią wydrążenie, którego powała zapadła się teraz pod ciężarem skaczącego konia. Najważniejsze teraz dla nas pytanie, czy to wydrążenie jest głębokie, czy płytkie. Jeśli to szyb, wiodący wdół pionowo, w takim razie niema dla marszałka ratunku, jeżeli jednak sztolnia pozioma, to wydobędziemy go z pewnością.

— To nie sztolnia, lecz szyb, dziura, wiodąca wprost do ognia piekielnego, — twierdził koniuszy. — Marszałek, przepadł. Nie ujrzymy już ani jego ciała, ani ducha.

— Duch jego nie ukaże ci się chyba nigdy. Chodźcie do otworu! Musimy go zbadać.

— Niech mnie Allah broni! Jestem bogobojnym synem proroka i za żadne skarby świata nie zbliżę się do lochu piekieł!

— Słusznie, bardzo słusznie! — potwierdził Selim chrapliwym głosem. — Niech mnie Allah broni przed djabłem o dziewięćdziesięciu ogonach i przed piekłem, którego płomieniom nie oprze się skóra nawet pobożnego człowieka!

— Milcz! — rzekłem gniewnie. — Mówicie o wejściu do piekieł i o ogniu piekielnym. Czy widzieliście kiedy ogień bez dymu? Gdyby tu było piekło, musiałoby się dymić z otworu. Czyż tego nie pojmujesz, Selimie?

Na ten argument nie znalazł odpowiedzi, a jeszcze bardziej się zakłopotał, kiedy dodałem:

— Udajesz największego bohatera pustyni, a boisz się małego otworu w ziemi. Wstydź się! Gdyby się tu piekło rzeczywiście otwarło, widzielibyśmy nietylko dym, ale nadto czulibyśmy straszliwe gorąco. Ponieważ zaś nie można zauważyć ani jednego, ani drugiego, przeto nietylko ośmieszacie się swym niepotrzebnym strachem, ale, co więcej, narażacie marszałka na śmierć. Prawdopodobnie będziemy go mogli wydobyć, jeżeli się raźno do roboty weźmiemy. Jeśli jednak będziemy zwlekali, spadnie wina jego śmierci na nasze sumienie. Nie bądźcie więc tchórzami i chodźcie za mną!

Mówiąc to, zbliżyłem się do miejsca wypadku, a także oni, zawstydzeni, nabrali nieco odwagi i szli za mną. Zatrzymałem się w dwułokciowej odległości od brzegu otworu i pochyliłem naprzód, aby spojrzeć w głąb piaszczystego lejka. Chcąc go zbadać dokładniej, postąpiłem naprzód jeszcze o jeden krok, kiedy nagle grunt mi się pod nogami obsunął tak, że zaledwie miałem czas odskoczyć wstecz. Piasek, na którym stałem, wpadł w głąb otworu.

Towarzysze moi zrejterowali czem prędzej, a Selim zawołał do mnie:

— Wracaj, wracaj, effendi! Niewiele brakowało, a i ciebie byłoby piekło porwało. To naprawdę piekło, a może ten jego oddział, w którym dusze niewiernych drżeć muszą na wiecznym mrozie. Tam niema dymu. Odmówmy świętą fathę, a potem wracajmy do domu, aby wielbić Allaha za to, że nas oszczędził.

Poszli do koni; wyprzedziłem ich jednak, wydobyłem

rewolwer i zagroziłem:

— Na waszego proroka i na wszystkich kalifów przysięgam, że zastrzelę tego, który dosiędzie konia. Posłuchajcie mnie chwilę!

Groźba moja przestraszyła ich tak samo, jak myśl o piekle; cofnęli się, a koniuszy odrzekł:

— Effendi, czy chcesz zostać mordercą tego, który cię gości u siebie? Dziwi mnie to bardzo; zresztą, posłucham, co powiesz.

Te długie rokowania i wahania mogły się fatalnie odbić na nieszczęśliwym murzynie, sam jeden jednak nie mogłem się wziąć do akcji ratunkowej. Potrzebowałem pomocy i musiałem ich za wszelką cenę do współdziałania nakłonić.

— Zdejmijcie z koni cugle i wszystkie rzemienie — zawołałem. — Gdy je razem pospinamy i powiążemy, będziemy mieli to, czego mi potrzeba.

Zabrali się natychmiast do pracy, nie przedstawiającej żadnego niebezpieczeństwa, i niebawem powstał z rzemieni dostatecznie długi pas, którego jednym końcem przewiązałem siebie, a drugi mieli oni trzymać, zabezpieczając mnie na wypadek, gdyby się ziemia pode mną zapadła. Zbliżyliśmy się znowu do otworu. Pomocnicy moi stanęli we wskazanem oddaleniu, ja zaś położyłem się na ziemi i poczołgałem w podobny sposób, jak się to czyni przy ratowaniu kogoś, kto się załamał na lodzie. Im bardziej zbliżałem się do otworu, tem ostrożniej posuwałem się naprzód, a towarzysze puszczali rzemień przez ręce w ten sposób, że był wciąż naprężony, Głowa moja była jeszcze na stopę oddalona od brzegu, kiedy przeciwległa krawędź

obsunęła się i wpadła w głąb otworu. Wydawało mi się, że słyszę dochodzące z głębi charczenie, czy też chrząkanie. Posunąłem się więc jeszcze trochę naprzód i spojrzałem nadół. To, co ujrzałem, zaskoczyło mnie niespodzianie.

Jama miała mniej więcej cztery łokcie głębokości. Dolne jej ściany były zbudowane z czarnych cegieł nilowych, górne zaś z piasku. Zauważyłem też, że jama ku dołowi znacznie się rozszerzała. Ciemne dolne ściany podobne były do wnętrza wielkiego czworobocznego komina, zamkniętego od góry sklepieniem, nad którem z biegiem czasu osiadła gruba warstwa piasku. Zwietrzałe ceglane sklepienie rozluźniło się teraz pod jego naciskiem, a pod uderzeniem kopyt ciężkiego konia zapadło się do środka. Na dnie jamy zobaczyłem korpus grubasa, zasypanego piaskiem aż po pas; ręce miał złożone, a oczy zamknięte. Nie zabił się, gdyż z grubych ust jego wydobywały się owe stękające westchnienia. Teraz chodziło przedewszystkiem o to, jak daleko w głąb prowadził szyb z czarnych cegieł. Leżałem w każdym razie nad budowlą staroegipską, nad którą z biegiem stuleci nagromadziło się tyle piasku, że zniknęła pod nim zupełnie. Pagórek, na którym byłem poprzednio, musiał być także częścią i to może istotną tej budowli. Trudno mi było odgadnąć, jaka była prawdziwa głębokość szybu. Mogła być przecież nawet bardzo wielka, a jeżeliby tak było istotnie, to piasek, w którym grubas utkwił, widocznie wstrzymywał się na jakiejś zaporze; gdyby ta opadła, musiałby marszałek runąć w otchłań. W każdym razie ratunek jego nie był rzeczą bezpieczną. Ponieważ stękał, a jednak się nie poruszał, przypuszczałem,

że jest nieprzytomny. Głośno na niego zawołałem i usłyszałem w odpowiedzi tylko głuche stęknięcie. Powtórzyłem wołanie i wtedy odpowiedział mi cichym złamanym głosem:

— Tu jestem Azraelu!

Uważał mnie zatem za anioła śmierci.

— *Kapu kiahaja!* — ryknąłem nadół. — Otwórz-że oczy i rozejrzyj się dokoła!

— Nie mogę, — odpowiedział teraz wyraźniej — bo jestem umarły.

— I umarli otworzą oczy po zmartwychwstaniu. Spróbuj tylko!

Otworzył oczy, spojrzał przed siebie i zobaczył czarną ścianę muru.

— Popatrz wgórę! — rozkazałem.

Usłuchał, podniósł głowę i mnie w górze zobaczył.

— To ty, effendi? — zapytał głosem osłabionym. — A zatem jestem w piekle! *O Allah, Allah, Allah!*

— Dlaczego w piekle?

— Bo chrześcijanin nie może wnijść do nieba, tylko do piekła.

Trudno było walczyć z urojeniami marszałka, które tak utrudniały i opóźniały jego ratunek. Na szczęście, przyszło mi na myśl, że, jeżeli o głodzie mu wspomnę, zdołam go może do zupełnej przytomności przywrócić. Rzekłem więc bez namysłu:

— Tak, jesteśmy w piekle, lecz ty wpadłeś tylko w małą piekielną jamę. Gdy cię wydobędziemy, pojedziemy do Siut i spożyjemy obiad, bo jestem bardzo głodny.

— Ja także! — odrzekł zelektryzowany. Twarz jego przybrała całkiem inny wyraz, oczy rozwarły mu się szerzej, niż przedtem, a spojrzenie, które teraz rzucił w moją stronę, było badawcze i jasne.

— A więc się śpieszmy! — mówiłem dalej. — Nie jesteś ranny?

— Nie — — skoro umarłem.

— Nie ośmieszaj się! Żyjesz. Gdzie twoje nogi? Stoisz w piasku, czy siedzisz?

Od położenia nóg zależało bardzo wiele. Jeśli siedział, to szyb był płytki, jeśli zaś stał pionowo, to tkwił w piasku ponad otchłanią.

— Siedzę na podłodze ceglanej — odpowiedział.

Wiadomość ta dodała mi otuchy. Grubas siedział w poziomym kurytarzu podziemnym, a prostopadła i czworokątna dziura, którą wpadł do środka, służyła prawdopodobnie do wentylacji.

— Wstawaj! — rozkazałem mu. — Przyjdzie ci to z łatwością, gdyż piasek nie przysypał cię głęboko.

Był posłuszny, nie poszło mu to jednak łatwo, jakem się spodziewał. Przeszkadzała mu ciasnota i ciężar ciała. Po kilku wysiłkach zdołał wkońcu powstać i wtedy mogłem spuszczoną nadół ręką dotknąć jego głowy. Zauważyłem przytem, że moja piaskowa podstawa jest dość silna, a zesunęła się tylko jej część rozluźniona. Grubas westchnął głęboko i zawołał:

— O Allah, o nieba, o Muhammedzie, więc nie umarłem naprawdę? Żyję, pojadę do domu i zjem jagnię! Effendi, widzę tylko ciebie. Gdzie tamci?

— Stoją za mną i zobaczysz ich wkrótce. Czy umiesz piąć się po sznurze?

— Nie. Czyż masz mnie za kota?

— Więc zejdę nadół, żeby cię podnieść.

— A jakże ciebie potem wydobędziemy?

— Wespnę się po rzemieniu. Zaczekaj tylko chwilę!

Wstałem i wróciłem do tamtych. Kiedy opowiedziałem im wszystko, wzrosła ich odwaga i poszli za mną nad dziurę.Złożyłem pas rzemienny we dwoje, kazałem trzymać mocno jeden koniec, a drugi spuściłem do jamy i sam się po nim zsunąłem. Kiedy stanąłem obok grubasa, wypełniliśmy całe miejsce tak szczelnie, że zaledwie mogliśmy się poruszać. Niemało też miałem trudu z upięciem rzemieni dokoła jego piersi.

Weszliśmy teraz w najtrudniejsze stadjum przedsięwzięcia. Trzeba było wydobyć na górę tego ciężkiego człowieka, a nie wystarczyło ciągnąć, bo piasek mógł się poddać i zasypać nas potem. Musiałem go podnieść, ale jak tu tego dokonać, skoro zaledwie mogłem się poruszać? Jeden tylko znalazłem sposób wykonania tego zamiaru. Kazałem grubasowi, za którym stałem, rozstawić nogi tak szeroko, jak tylko mógł, a kiedy to polecenie wykonał, osunąłem się zwolna, by między niemi na piasku usiąść. Podłożyłem moje barki pod niego i, podczas kiedy tam ci ciągnęli, podnosiłem się w tem samem tempie, opierając się rękami i łokciami o ścianę. Była to ciężka i niezbyt przyjemna część pracy. Stojący na górze ludzie byli w ustawicznej trwodze, aby się ziemia pod nimi nie zapadła. Trwoga ta paraliżowała ich wysiłki i z tego

powodu miałem do pokonania największą część ciężaru tego olbrzymiego cielska. Kiedy się wkońcu wyprostowałem zupełnie, wynurzył się z otworu korpus jego o tyle, że wystarczyło już tylko jedno silne szarpnięcie, aby murzyn znalazł się między nimi. Szarpnęli też tak silnie, że przewrócił kilka kozłów, aż legł spokojnie i zaczął stękać. Stało się to na moje polecenie, gdyż przy powolnem przeciąganiu tego bezkształtnego kolosa przez otwór lochu, byłbym narażony na zasypanie. Po kilku chwilach spuszczono mi rzemienie, po których wywindowałem się na górę, nie troszcząc się o to, czy ściany i krawędzie jamy załamią się pod moim ciężarem, czy nie. Wydostałem się na świat w chwili, kiedy właśnie przyszedł grubas do siebie po gwałtownem szarpnięciu. Usiadł na piasku, obmacał brzuch i nogi, aby się przekonać, czy jakich uszkodzeń nie doznał, a kiedy upewnił się o całości swego korpusu, ukląkł, zwrócił się twarzą do Mekki i odmówił świętą fathę, pierwszą surę koranu. Potem dopiero podniósł się całkiem, przystąpił do mnie, ujął mnie za ręce i powiedział:

— Effendi, byłem już w piekle i znów widzę niebo; nie żyłem już i znowu ożyłem. Tobie mam to do zawdzięczenia!

— Effendi, czy zauważyłeś, jak silnie trzymałem rzemienie, kiedy na nich wisiałeś? — wtrącił nagle Selim. — Tamci chcieli już puścić i byłbyś runął w głąb, aby już nigdy stamtąd nie wrócić, gdyby nie moje poświęcenie. Mnie to zawdzięczasz, że światło dzienne oglądasz. Jesteś więc chyba przekonany, że masz silnego opiekuna i potężnego obrońcę!

— Jestem przekonany! — odrzekłem i odwróciłem się od niego z uśmiechem.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do miasta. Marszałek prosił nas, żebyśmy nie wspominali o tem, co się stało. Obawiał się, że cześć jego ucierpiałaby, gdyby szczegóły o przygodzie dostały się do wiadomości publicznej. Z obiadu byliśmy zadowoleni. Koniuszy i ja musieliśmy go spożyć u marszałka. Tak nas obsłużono, że trzydzieści osób mogło się najeść dosyta. Szczerość jednak każe mi wyznać, że wszystkie zalety owej uczty ograniczały się wyłącznie do obfitości potraw.

Bawił mnie przytem widok Selima. U Murada Nassyra nie było mu wolno siadać przy stole, a tutaj był gościem, któremu usługiwano. Oblicze jego błyszczało rozkoszą i tłuszczem baranim, a on sam rozpływał się w grzecznościach. Opowiadał swoje przygody i wyliczał nam na palcach swoje zalety. Słowem znajdował się w swoim żywiole i bawił nas dzięki temu tak wspaniale, że zasiedzieliśmy się prawie aż do wieczora. Grubas zjadł przez ten czas tyle, że tylko z trudem mógł wykonać przepisane przeze m nie pokłony.

Zamiar mój, ażeby po południu zwiedzić jaskinię krokodylą w Maabdah, spełznął na niczem. Musiałem go z konieczności odłożyć do jutra. Marszałek przyrzekł mi, że zarządzi odpowiednie do tej wycieczki przygotowania. Usnąłem więc w błogiej nadziei, że nazajutrz zobaczę cmentarz krokodyli, zabalsamowanych przed dwoma lub trzema tysiącami lat. — — —

* *
*

Zabalsamowane krokodyle? Tak jest! Dawni Egipcjanie balsamowali nietylko zwłoki ludzi, ale także krokodyli, byków, wilków, ibisów, sokołów, nietoperzy, i niektórych ryb. Wierzyli oni w pośmiertny ich żywot i starali się zachować ciała, aby dusze, które z nich wyszły, znalazły je po swoim na ziemię powrocie. Ażeby trupy zakonserwować, napełniano jamę brzuszną, piersiową i mózgową masą, złożoną przeważnie z pewnego gatunku asfaltu, zwanego „*mumiya*“. Stąd to pochodzi, że te niezniszczalne zwłoki nazywają mumjami.

Każdą poszczególną część ciała owijano zosobna płótnem, a potem całe ciało krępowano mnóstwem lnianych bandaży. Zależnie od tego, do jakiej kasty nieboszczyk należał, umieszczano jego ciało w drewnianej, niekiedy nawet w podwójnej trumnie, albo też układano w kamiennym sarkofagu. Biednych nie chowano w trumnach, tylko zakopywano w piasku.

Jest kilka rodzajów mumij. Najstarsze znaleziono w Memfis; są one czarne i tak zaschnięte, że rozpadają się łatwo. Mumje tebańskie mają żółtą, matowo połyskującą barwę, a paznokcie ich zabarwione są zapomocą hennah, która jest do dnia dzisiejszego ulubionym kosmetykiem

kobiet wschodnich. Mumja króla Merenre, który panował przed przeszło czterema tysiącami lat, jest najstarszą ze wszystkich znanych. Wiele mumij ma na sobie pierścienie i inne ozdoby, a niekiedy można przy nich znaleźć okazy owoców i zboża.

Cmentarzyska staroegipskie uległy, niestety, w ciągu ostatnich kilkuset lat w znacznej części zniszczeniu, dzięki pożałowania godnej gospodarce Arabów, a także przeróżnych powołanych i niepowołanych badaczy europejskich. Już w nowszych czasach sprawili Arabowie wielki zamęt w „stosunkach rodzinnych“ dawnych zabalsamowanych królów i książąt egipskich, wydobywając mumje z trumien i układając je stosami. Już w wiekach średnich handlowano mumjami i kto chciał, mógł otwierać groby i zabierać nieboszczyków na swoją własność. Dopiero Mehemed Ali położył kres tej gospodarce, wydając orzeczenie, że dawne cmentarze są własnością rządu i tylko rząd może mumje spieniężać. Szacherki mimo to nie ustały i do dnia dzisiejszego wielu Arabów ciągnie zyski z tego zakazanego handlu. Beduini i Fellatahowie włamują się do mauzoleów i rozbijają mumjom czaszki, aby z nich wydobyć kawałek złotej blachy, w którą nieboszczyków zaopatrywano, aby mieli czem zapłacić za przewóz przez rzekę umarłych.

W nowszych czasach nawet medycyna znalazła pretekst, aby się dobrać do mumij. Dawni alchemicy szukali w nich kamienia mądrości i setki mumij w tym celu zniszczyli. Po nich przyszli fabrykanci eliksirów, zajmujący się przyrządzaniem soków życiowych. Przypisywali oni

mianowicie mumjom, tym pociętym na kawałki resztkom trupów, tajemnicze siły lecznicze i ogłosili, że zapomocą krwi byczej, popiołu ze spalonego trupa, soku euforbji i pyłu z mumij można człowiekowi w sztuczny sposób przywrócić zdrowie i młodość.

Niemieckie i austrjackie drogerje sprowadzały mumje przez Livorno i Triest. Około roku siedemdziesiątego kosztował wiedeński centnar mumij pięćdziesiąt guldenów. Ponieważ przemycanie tego towaru połączone jest teraz nawet z niebezpieczeństwem życia, podniosła się cena mumij do czterystu, a nawet do pięciuset guldenów. Trwały popyt na mumje sprawił, że dziś istnieją już fabryki fałszywych staroegipskich nieboszczyków. Na szczęście, poznano się już na wartości leczniczej mumij i zapotrzebowanie ich ograniczyło się w naszych czasach do kilku okolic alpejskich, gdzie „*mum*“ służy jako lekarstwo przeciw niektórym chorobom zwierzęcym. — —

Nazajutrz, o wschodzie słońca, byłem gotów do wycieczki. Koniuszy i Selim postanowili mi towarzyszyć, a także i gruby marszałek byłby się chętnie do nas przyłączył, gdyby złowróżbne zaćmienie, którego skutków wczoraj doświadczył, nie odwiodło go od tego zamiaru. Tym razem pozostał w domu, gdzie pod osłoną amuletu czuł się dość pewnym.

Dwaj służący zaprowadzili nas nad rzekę, gdzie łódź niewielka stała na kotwicy. Znajdowało się w niej kilka poduszek oraz dostateczna ilość woskowych pochodni. W zapałki zaopatrzyliśmy się obficie. Zabraliśmy na wszelki wypadek również powrozy i sznury.

Poranek był cudownie piękny. Wonna nilowa mgła rozchodziła się zwolna, zanim jednak zrzedła zupełnie, zmieniły ją słoneczne promienie w przezroczystą, złotem tkaną zasłonę. Błękitna rusałka nilowa owijała nią swoje gibkie ciało.

Odbiliśmy od brzegu i wypłynęliśmy na środek rzeki. Fala niosła nas wdół; minęliśmy Mankabat, potem leżący na lewym brzegu Monsalud, wkońcu przybyliśmy do brzegu w Maabdah. Po ostatnim wylewie stała woda dość jeszcze wysoko, po wystającym z niej jednak wale dostaliśmy się suchą nogą do wsi. Leży ona w odległości około pół godziny drogi od Dżebel Abu Fehdah, czyli łańcucha gór, obfitujących w jaskinie, służące niegdyś Egipcjanom za cmentarzyska dla świętych krokodyli.

We wsi zapytaliśmy o przewodnika, gdyż bez niego nie można było się zorjentować w plątaninie jaskiniowych krużganków. Podróżny, któryby tutaj zaufał własnej zdolności orjentacyjnej, naraziłby się na zabłądzenie i nędzną śmierć z uduszenia lub głodu. Sprowadzono nam bardzo rychło człowieka, który oświadczył, że oprowadzi nas po jaskini i że zwiedzenie jej zabierze nam co najwyżej dwie godziny czasu. Kiedy zapytałem go, ile za to żąda, odpowiedział:

— Jest was pięciu, a od osoby należy mi się czterdzieści piastrów, dostanę więc razem piastrów dwieście.

Za dwie godziny? Z takiem wygórowanem żądaniem nie spotkałem się jeszcze nigdy, chociaż wiem z doświadczenia, że w Egipcie trzeba zawsze przynajmniej do połowy redukować to, czego żądają.

— Pięknie! — odrzekłem. — Słyszałem już, ile żądasz, a teraz dowiesz się, ile ci dam. Do jaskini idzie nas tylko trzech, a ponieważ płacę po dziesięć plastrów od osoby, dam ci przeto razem trzydzieści piastrów. Jeśli będę z ciebie zadowolony, otrzymasz nadto dziesięć piastrów bakszyszu.

Kwota ta równała się mniej więcej dwudziestu złotym, a była dla egipskiego nicponia za dwie godziny bynajmniej nietrudnego zajęcia chyba dostateczną zapłatą. On jednak udał obrażonego i zawołał:

— Panie, jak możesz proponować mi coś podobnego? Powietrze w tej grocie szkodzi zdrowiu i ja poświęcam życie, oprowadzając obcych. Jeśli zaś pójdziecie sami, na pewno nie będziecie już oglądali światła dziennego.

— Zobaczymy je, chociaż się wyrzekniemy twego towarzystwa, bo znajdziemy sobie innego przewodnika.

— Nie znajdziecie; jestem tutaj jedynym przewodnikiem.

— Nie kłam! Każdy mieszkaniec Maabdah był w tej grocie i może nas oprowadzić. Zaraz ci to udowodnię!

Kazałem parobkom sprowadzić innych ludzi, których żądania nie byłyby tak wygórowane. Kiedy jednak zaledwie kilka kroków uszli, zawołał na nich, żeby się wrócili, i zaczął się ze mną targować, żądając stu pięćdziesięciu piastrów, potem stu, osiemdziesięciu i t. d. aż mu wreszcie powtórzyłem to, co mówiłem przedtem:

— Dam ci trzydzieści piastrów, a potem jeszcze dziesięć, jako bakszysz, lecz i to tylko wtedy, jeśli będziemy z ciebie zadowoleni.

— A więc muszę się zgodzić, niech ci jednak Allah za to

zapłaci, że mnożysz troski biedaka. Gdybym był takim panem, jak ty, dałbym przewodnikowi nie trzydzieści piastrów, ale dziesięć razy tyle.

— Ponieważ nim jednak nie jesteś, więc pozwolisz, abym sam pomyślał o zapłacie i jej wysokości.

— Panie, masz twarde serce, a mowa twoja brzmi tak, jakby kto dwa kamienie tłukł o siebie. Chodźcie, poprowadzę was!

Poszedł naprzód, a my za nim. Szliśmy przez niewielką wieś i dostaliśmy się wkrótce do stóp stromego wzgórza, za którem ciągnie się pustynia aż do Morza Czerwonego. Tam leżało cmentarzysko z kopulastym grobowcem fakira. Przy jego stopniach klęczał jakiś człowiek na modlitewnym dywanie. Rysy jego twarzy były dziwnie szlachetne, a śnieżysta broda, sięgająca mu aż do pasa, budziła uczucie uszanowania.

Przewodnik stanął, aby się pokłonić głęboko temu patrjarsze i, skrzyżowawszy ręce na piersi, powiedział:

— Niech cię Allah błogosławi i zsyła ci łaskę i życie, o *mukaddas*[3]. Niech droga twoja prowadzi do raju!

Starzec podniósł się, przystąpił do nas powoli, rzucił badawcze spojrzenie i odrzekł witającemu:

— Dziękuję ci, mój synu! Niech i twoja droga prowadzi do wieczystego mieszkania proroka! Idziesz do jaskini?

— Tak. Mam ją pokazać tym cudzoziemcom.

— Pokaż im; niech poznają, jak znikome wszystko to, co ziemskie. Można wprawdzie ciało utrwalić na lat tysiące, wcześniej jednak, czy później musi się ono rozpaść, ażeby ziemia stała się ziemią, a proch prochem. Tylko sam Allah

jest wieczny, a duchowi ludzkiemu pozwolił jedynie brać udział w swej nieskończoności.

Odwrócił się, lecz, jakby tknięty jakąś nagłą myślą, powtórnie utkwił we mnie swoje bystre oczy, przystąpił bliżej i rzekł:

— Cóżto za twarz! Co to za rysy i oczy! Jakie myśli mieszkają pod tem czołem! Chciałbym je zgłębić, a potem spojrzeć w twoją przyszłość. A może ty nie wierzysz, że Allah pozwala niekiedy śmiertelnikowi widzieć jasno przyszłość?

Na pytanie to, do mnie zwrócone, odrzekłem:

— Bóg jeden wie, co się w przyszłości stanie.

— Tak, ale może On także wypadki przyszłe odsłonić, przed którego oczyma ze swoich wiernych. Nie mogę się oprzeć pociągającemu wyrazowi twej twarzy; wpływa na mnie w podobny sposób, jak słońce na słonecznik. Podaj mi rękę! Zobaczymy, czy w linjach jej odnajdę potwierdzenie tego, co czytam w twarzy.

A zatem miałem przed sobą chiromantę. Trudno uwierzyć w taki humbug, jak chiromancja, a jednak ten czcigodny patrjarcha nie wyglądał bynajmniej na oszusta i szarlatana. Co miałem czynić? Czy zmartwić go, albo nawet obrazić odmową? Uprzedził moją decyzję i chwyciwszy mnie za rękę, zbliżył mą dłoń do oczu. Rzucił okiem na linje i po chwili powiedział:

— Ta ręka potwierdza wszystko, co twarz powiedziała. Przyszłość twoja leży przede mną otworem, jak dom, do którego wchodzę, by się przypatrzeć komnatom. Czy wątpisz jeszcze?

— Tak.

— W takim razie opowiem ci kilka wypadków przeszłości i nieco z teraźniejszości, ażebyś potem nie wątpił w to, co ci odkryję z przyszłości. Nosisz szaty wiernego i mówisz językiem muzułmanów, nie jesteś jednak wyznawcą proroka, lecz chrześcijaninem.

Skinąłem twierdząco głową, a on mówił dalej:

— Widzę statek z wielu żaglami. Reis jego jest mieczem sprawiedliwości, a ty jesteś jego przyjacielem. Wy uszczęśliwicie wielu ludzi i zyskacie sławę na ziemi. Czy znasz takiego reisa?

— Tak — odrzekłem, mając na myśli reisa effendinę.

— Powiedziałem ci prawdę i mógłbym teraz pokazać ci przyszłość, ponieważ jednak wątpiłeś, będę milczał i powiem tylko niektóre rzeczy, bo to uchroni cię od wielkiego nieszczęścia, a może nawet od śmierci. Oko mej duszy dostrzega syna zemsty, który godzi na twoje życie. Był on już kilka razy blisko ciebie, lecz Allah cię obronił. Jeśli ci miłe życie, radzę ci, abyś dalej nie jechał. Teraz pełnia; zostań do najbliższej zmiany księżyca tutaj, gdzie jesteś! Oto, co ci chciałem powiedzieć.Wierz mi, lub nie; mnie to ani zasmuci, ani ucieszy, ale tobie przyniesie błogosławieństwo, albo nieszczęście, zależnie od tego, jak postąpisz. Niech cię Allah prowadzi!

Odwrócił się, podszedł do swego dywanu i ukląkł na nim, aby znów pogrążyć się w modlitwie. Nie żądał wynagrodzenia, a jego zachowanie się wskazywało, że nicby ode mnie nie przyjął. To też nie przeszkadzałem mu w modlitwie i poszedłem z towarzyszami za

przewodnikiem, który prowadził nas dalej.

Osobliwe spotkanie! Wiedział, że jestem chrześcijaninem, a jego wzmianka o emirze była również prawdziwa. Ostrzegł mnie wreszcie przed „synem zemsty“, co mogło się odnosić do muza’bira. Słowem, wszystko co mówił, zgadzało się z prawdą, i, muszę przyznać, że chociaż nie jestem skłonny do wiary w rzetelność podobnych jasnowidzeń, starzec ten sprawił na mnie niezwykłe wrażenie. Podczas dalszej drogi wypytywałem się przewodnika o bliższe szczegóły, odnoszące się do fakira, a on mi odpowiedział:

— To święty, który rzeczywiście umie patrzyć w przyszłość. Wędruje z miejsca na miejsce i kaznodziejstwo jest jego pracą, a modlitwa pożywieniem. Ciało jego mieszka na ziemi, lecz duch należy już do tamtego świata.

Słowa przewodnika miały akcent szczerości, a także starzec nie wydawał mi się oszustem. Cóż miałem myśleć o całej sprawie? Postanowiłem odłożyć ją na razie *ad acta* i zabrać się do niej przy najbliższej sposobności. Teraz musiałem całą uwagę poświęcić jaskini krokodylowej i drodze wiodącej do niej.

Droga ta nie była wcale wygodna. Pięła się na płaskowzgórze pokryte połyskującemi zdaleka przezroczystemi romboidami, załamującemi kilkakrotnie promienie słoneczne. Tu i owdzie zasłany był teren olbrzymiemi kulami kamiennemi, leżącemi obok siebie i na sobie. Cała okolica wyglądała dzięki temu jak pobojowisko, na którem starły się z sobą siły gigantów, uzbrojonych w olbrzymie armaty.

Na tem płaskowzgórzu wznosił się pagórek, w którym zauważyłem wielki, zdala widoczny otwór. Wyschłe resztki mumij i kości leżały dokoła i to mnie naprowadziło na domysł, że się znajdujemy u wejścia do słynnej jaskini. Przewodnik potwierdził to moje przypuszczenie; byliśmy zatem na miejscu. Koniuszy postarał się o trzy ubrania, złożone z płóciennej bluzy i spodni. Szat, które mieliśmy na sobie, nie mogliśmy zatrzymać, gdyż w grocie musiałyby ulec zupełnemu zniszczeniu.

Przewodnik wszedł do pionowego lochu, głębokiego na dwa metry, a następnie pomógł zejść mnie, koniuszemu i Selimowi. Parobcy, którzy pozostali przed wejściem, spuścili nam na sznurze płócienne ubrania i resztę potrzebnych rzeczy. Gęsty mrok nas otoczył.

Selim, „największy bohater wszystkich plemion“, zamilkł nagle na widok ciasnego otworu. Po drodze rozmawiał głośno z parobkami i opowiadał im, że zwiedził przeszło sto jaskiń, w których leżeli umarli. Kiedy ten gadatliwy człowiek przestał opowiadać i stał przy mnie spokojnie, zdawało mi się, że słyszę jego westchnienia.

Zapaliliśmy pochodnie, w które nas zaopatrzono u wejścia do jaskini. W ich świetle zauważyliśmy, że wydrążenie była na dole większe, niż na górze, a w stronie północnej kończyło się długim, ciasnym otworem, stanowiącym przejście w głąb podziemia. Przewodnik poszedł naprzód. Selim radził mi iść za przewodnikiem, sam zaś chciał zamykać ten pochód. Nie dowierzałem jednak długiemu Urianowi. Bardzo łatwo mógł ze strachu zostać daleko wtyle za nami, a gdyby potem nie znalazł

drogi powrotnej, naraziłby się na niebezpieczeństwo. Musiał więc wleźć do dziury przede mną, ja zaś szedłem za nim.

Czołgaliśmy się na rękach i nogach przez wąski kurytarz. Powietrze, które nas otoczyło, było duszne i tak cuchnące, że nos i płuca wciągały je z odrazą. Doznałem trwogi i przygnębienia, nad którem tylko z trudem zapanowałem. Im dalej posuwaliśmy się, tem powietrze było gęstsze i nieznośniejsze.

— *Allah il Allah!* — doleciało mnie ztyłu westchnienie koniuszego. — Wczoraj uważaliśmy Tell es sirr za wejście do piekła; jakżeż ono było przyjemne wobec dzisiejszego! Jest to chyba wejście do najgłębszego piekła piekieł. Poco tutaj leźć, skoro na dworze mamy jasny dzień i orzeźwiające powietrze?

Po kilkudziesięciu krokach weszliśmy w sztolnię jeszcze niższą. Nie mogliśmy się już posuwać naprzód na czworakach, ale musieliśmy się czołgać na brzuchu. W czasie tej przeprawy obił się o moje uszy jęczący głos Selima:

— To okropne, od tego włosy powstają mi na głowie; już nie wytrzymam dłużej!

Coś mu na to przewodnik odpowiedział, słów jednak nie zrozumiałem, gdyż zamiast nich tylko dudnienie głuche doszło do uszu moich. Dosłyszałem natomiast gniewną replikę Selima:

— Ty mi nie rozkazuj! Płacą ci, więc masz milczeć i słuchać! Ja się nie boję, pójdę nawet z djabłem w zawody, ale ten zaduch działa na mój nos zabójczo; gdyby się zaś te

czarne ściany zapadły, zmiażdżyłyby mnie, jak miażdży rybę paszcza krokodyla. Ja już dalej nie idę i wracam. Życie milsze mi jest od śmierci, a zapach cybucha więcej cenię, aniżeli tę woń piekielną. Wracam, puszczajcie mnie!

Zawołał to takim głosem, jakgdyby się już na dobre dusił. Próbowałem go uspokoić, lecz daremnie; ryczał formalnie z wściekłości i trwogi. Nie pozostało nam nic innego, jak spełnić jego wolę. Ponieważ jednak przejście było ciasne i obok nas prześlizgnąć się nie mógł, musieliśmy się z koniuszym cofnąć do groty na początku kurytarza. Przewodnikowi poleciliśmy, żeby się z miejsca nie ruszał i na nas zaczekał. Ponieważ musieliśmy się czołgać wstecz, utrudniało nam to drogę w dwójnasób. Kiedyśmy wreszcie wydostali się na wolniejsze miejsce, gdzie Selim mógł zaczerpnąć lepszego, choć nie całkiem czystego powietrza, zawołał z głębokiem westchnieniem:

— Dzięki Allahowi! Jeszcze kilka minut, a byłbym się udusił i upodobnił do mumji krokodyla. Nie, nie, żadna siła nie byłaby mnie w stanie zmusić, abym poszedł dalej, choćby krok jeden.

— Czy to jest odwaga, o której tak wiele przedtem mówiłeś? — zapytałem.

— Nie mów o odwadze, effendi! — fuknął na mnie. — Postaw mnie przed prawdziwym nieprzyjacielem, a dokażę cudów waleczności, lecz nie żądaj ode mnie, abym bez koniecznej przyczyny napawał smrodem swoje powonienie, które tak bardzo umiłowało aromat. Czyż człowiek nato otrzymał czuły nos, ażeby go przy pierwszej lepszej sposobności na szwank narażał? Mów, co chcesz, ja tu

zostanę!

— Selim ma słuszność — potwierdził koniuszy.— Głowa mnie boli, przytem doznaję uczucia, jak gdybym miał pięć albo sześć głów, oczy mnie bolą od dymu pochodni, a płuca mam już skrępowane. Co mnie obchodzą krokodyle! Jeśli pozwolisz, zaczekam tutaj z Selimem, dopóki nie wrócisz.

— Więc i ty chcesz mnie opuścić?

— Opuścić? Nie! Wszak zostaniemy w jaskini. Uszedłszy taki kawałek drogi, zaspokoiłem swoją ciekawość i nie mam ochoty wnikać w dalsze tajemnice grobowców.

— A więc zostańcie tutaj. Pójdę sam.

Zastałem przewodnika na tem samem miejscu, gdzieśmy go zostawili. Gdy się dowiedział, że już tylko ze mną pójdzie dalej, ucieszył się bardzo, gdyż jeden podróżnik sprawiał mu mniej trudu i zachodów, aniżeli trzej. Z umówionej kwoty nic oczywiście przez to nie tracił.

Czołgaliśmy się dalej. Chodnik zwężał się coraz to bardziej, a podłoga jego pokryta była kryształkami krzemienia, które przecinały ubranie i kaleczyły ręce. Po jakimś czasie natrafiliśmy na szczelinę tak wąską, że zdołaliśmy się z trudnością tylko przez nią przecisnąć, aby się dostać do szerokiej i wysoko sklepionej komnaty. Była pełna głazów, między któremi znajdowały się szczeliny i rozpadliny, opadające pionowo w głąb, Jeden krok fałszywy, a możnaby tutaj przepaść bez ratunku. Na powale i ścianach wisiały nietoperze, jeden tuż obok drugiego. Przestraszone światłem pochodni zaczęły latać po całej

grocie i koło naszych głów, nie dotykając nas jednak wcale. Było ich takie mnóstwo, że lot ich ogłuszał nas formalnie, jak szum wezbranej rzeki.

Przeszedłszy ponad niebezpiecznemi szczelinami, dostaliśmy się znowu w wąski kurytarz, obwieszony również nietoperzami. Wydzieliny ich pokrywały obficie podłogę, po której leźliśmy na rączkach, a cuchnący zaduch był tutaj tak przenikliwy, że już niewiele brakowało, bym przewodnika wezwał do powrotu. Ilość nietoperzy zwiększała się coraz bardziej, a kurytarz stale się zwężał. Nie mogąc nas ominąć, uderzały o nasze głowy i twarze, i wpadały w płomienie pochodni, gasząc je co chwila. Trzeba więc było zapalać je na nowo; zaledwie jednak błysnął płomień zapałki, gasił go przelatujący nietoperz. Mimo to dążyliśmy coraz dalej i dalej, aż znowu dostaliśmy się do groty na tyle wysokiej, żeśmy się mogli wyprostować. Były i tu w ziemi głębokie szczeliny, rozgałęziające się w rozmaitych kierunkach. Dotychczas widziałem tylko pył i odłamki mumij, tu zaś zobaczyłem po raz pierwszy zupełnie cało zachowane zwłoki. Był to trup krokodyla długości około ośmiu łokci.

Weszliśmy znowu w otwór, który był wylotem chodnika, wiodącego do obszernej sali. Tu znalazłem to, czego szukałam. Mumje nie były w całości zachowane; były to przeważnie same ułomki, któremi możnaby zapełnić kilka wagonów kolejowych. Widziałem i całe ciała, ale bez rąk i nóg, połowy korpusów — całe i porozbijane członki nietylko krokodyli, lecz także i innych zwierząt, a nawet ludzi. Nie ulega wątpliwości, że tutaj właśnie odbywano

formalne targi na ten towar.

Przeszukałem te szczątki, lecz nie znalazłem nic wartościowego; nie robiłem też żadnych zakupów, bo taka mumja byłaby w podróży prawdziwą zawadą. Zresztą, grzebanie w tych resztkach nie było rzeczą przyjemną z powodu całych chmur pyłu mumjowego, który się tutaj unosił, okropnego gorąca i nieznośnego zaduchu.

Ściany tej sali, podobnie jak wszystkich innych, były pokryte jakąś czarną lepką powłoką, z pod której prześwietlała tu i owdzie połyskliwa skała krzemienna. Powłoka ta powstaje ze smoły mumjowej, nietężejącej nigdy z powodu gorąca, i ona to rozsiewa ową woń przejmującą.

Kiedym grzebał w gruzach, przypatrywał mi się zboku przewodnik. Zapytałem go, czy to już wszystko, co można w grocie zobaczyć. Odpowiedział twierdząco.

— To być nie może! — odrzekłem. — W komorach i grotach, których mi nie pokazałeś, jest mumij daleko więcej, niż tutaj. Chociaż jaskini tej nie zbadano jeszcze dokładnie, obliczono, że znajduje się tutaj kilkaset tysięcy mumij.

— Powiadomiono cię fałszywie.

— O nie! Byli to ludzie, których sprawozdaniom można zaufać. Mumje ludzkie były uporządkowane wedle trumien, które leżały w krzyż jedna na drugiej. O mumjach krokodyli zaś wiem, że były między niemi nawet dziesięciometrowe. Mniejsze, wynoszące po pół metra i mniej, leżały w tobołkach, liczących po piętnaście lub dwadzieścia sztuk; powiązane były liśćmi palmowemi. W

podobne toboły składano także jaja krokodyle, węże najrozmaitszej wielkości, żaby, jaszczurki, jaskółki i różne inne ptaki. Muszą tu być wielkie sale, od góry aż do dołu zapchane mumjami, tak, że ledwie można znaleźć przejście między niemi. Gdzież są te sale i gdzie to ogromne mnóstwo trupów?

Na to przystąpił do mnie, położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

— Chcesz kupić mumję?

— Nie.

— Pocóż więc wchodzisz do tej jaskini?

— Z czysto ludzkiej ciekawości.

— Pytasz więc o wszystko, chociaż ofiarowałeś mi tylko trzydzieści piastrów, i żądasz za to odsłonięcia wszystkich tajemnic? Co cię obchodzi ta jaskinia i mumje, mające się tu jeszcze, twojem zdaniem, znajdować! Jesteś Frankiem i nie masz powodu mnie zdradzać, więc nie gniewam się za twoją oszczędność, a nawet ci coś powiem. Mnie nie potrzeba twoich trzydziestu piastrów, gdyż jestem bogatszy, niż sądzisz. Święty fakir rozmawiał z tobą przyjaźnie i pozwolił ci spojrzeć w przyszłość, czego dla nikogo nigdy nie czynił. Musisz więc być człowiekiem, którego Allah miłuje, i dlatego będziesz miał pamiątkę z jaskini. Zaczekaj tu małą chwilę — wrócę niebawem!

Zniknął z pochodnią w jakimś otworze, a mnie zostawił samego. Pochodnia moja spłonęła do końca, więc zapaliłem nową. Usiadłem na jakiejś mumji, pozbawionej głowy i nóg, i rozmaite myśli zajęły mnie w tej chwili samotności. Sam jeden żywy wśród tylu odłamków trupów, głęboko we

wnętrzu ziemi! Kim był ten człowiek, na którego ciele teraz siedziałem? On żył kiedyś, kochał, miał nadzieję i cierpiał. Może stał kiedyś przy boku faraona... Teraz po czterech tysiącach lat służył Europejczykowi za stołek!

Czas płynął wolno, minuta po minucie, a przewodnik nie wracał. Czyżby mnie oszukał, udając przychylnego? Czy chciał się może w ten sposób zemścić na mnie za moją oszczędność i zostawił mnie tutaj, ażebym, nie znając drogi, nędznie zginął? Ktoś inny byłby w tym wypadku może zwątpił o sobie, ja jednak miałem jeszcze całą pochodnię i spodziewałem się, że w wydzielinach nietoperzy odnajdę ślady moich stóp i przy ich pomocy zdołam się wydostać na wolne powietrze. Ta myśl mnie uspokoiła. Nieufność moja nie była uzasadniona, gdyż wkrótce dziura, w której przewodnik zniknął, zajaśniała światłem i ukazał się przewodnik, trzymając w jednej ręce pochodnię, a w drugiej małą paczkę, owiniętą w najdelikatniejszą tkaninę mumjową. Wsunął mi ją w rękę i rzekł:

— Oto pamiątka, którą ci przyniosłem. To tylko mała część mumji, lecz przypomni ci mnie tak samo, jakgdybym cię całym trupem obdarzył.

— A więc ty mi tego nie sprzedajesz, tylko dajesz bezpłatnie? — spytałem.

— Tak. Robię ci z tego podarunek.

— Czy wolno mi wiedzieć, dlaczego? Bo chyba nietylko dlatego, że święty fakir rozmawiał ze mną uprzejmie?

— Nie! Powód leży w tem, żeś mi się spodobał. Słyszałem po drodze, co mówili o tobie dwaj parobcy, idący za mną. To, co usłyszałem, przekonało mnie, że świadomie

nie dałeś mi tyle, ile żądałem, bo się znasz na tych sprawach. Weź sobie śmiało tę pamiątkę do domu; ja nie wyrządzam sobie tem żadnej szkody. Ażebyś wiedział, co to jest, dodałem do tego zawiniątka kartkę z wyjaśnieniami, gdyż hieroglify, odnoszące się do tej mumji, zostały już odczytane.

— Przyjmuję, nie patrząc, co ta paczka zawiera, i dziękuję ci szczerze. Udaję się do Chartumu i spodziewam się, że cię odwiedzę, jadąc zpowrotem. Może wówczas łatwiej mi będzie dać ci jaki dowód swej wdzięczności.

— Wdzięczność twoja na nic mi niepotrzebna, w każdym razie jednak powitam cię mile. Ale teraz wracajmy! Grotę już mniej więcej poznałeś; więcej ci nie potrzeba. Powiem ci tylko tyle, że w tej okolicy znajdują się skarby w mumjach takie, o których rząd, zabraniający kopać, nie ma pojęcia. Chodź za mną! Droga zpowrotem będzie krótsza, niż była w tym kierunku.

Teraz przekonałem się dopiero naprawdę, jak powikłane były kurytarze w jaskini; dostaliśmy się bowiem do wyjścia w czasie trzy razy krótszym, niż ten, który zużyliśmy, aby przez szeregi ciasnych sztolni dostać się do sali ostatniej. Do wnętrza prowadził nas przewodnik w ten sposób, że omijaliśmy komory, których nie powinien był zobaczyć człowiek niewtajemniczony. — Koniuszy siedział z Selimem w jamie wejściowej. Nie wyszli na powietrze, żeby się parobcy nie dowiedzieli, że stchórzyli i jaskini nie widzieli. Prosili mnie bowiem, abym milczał i nic nikomu o tem nie mówił, zwłaszcza parobkom.

Wydostaliśmy się na górę, i mogę rzec, że nigdy jeszcze

nie wydało mi się światło dzienne tak jasnem i zachwycającem, ani powietrze tak czystem i orzeźwiającem, jak teraz, kiedy wyszedłem z ciemnych i ciasnych kurytarzy, cuchnących smołą mumjową. Poszliśmy do wsi. Świętego fakira nie było już w tem miejscu, w którem ze mną rozmawiał. Spotkaliśmy go nad rzeką. Siedział, pogrążony w rozmyślaniach wpobliżu naszej łodzi. Zdawało się, że nie zauważył nas wcale. Przewodnik odprowadził nas aż tutaj, a kiedy chciałem mu zapłacić umówioną kwotę, wyciągnął przed siebie obie ręce i powiedział:

— Czy chcesz obrazić duszę moją i serce zasmucić? Każdy piaster, otrzymany od ciebie, musiałby zmniejszyć moją dla ciebie przyjaźń. Zatrzymaj sobie pieniądze i wspominaj o mnie tak chętnie, jak ja będę o tobie wspominał, a kiedy wrócisz z południa, nie zapomnij mnie odwiedzić. Widok twego oblicza będzie dla mnie wielką radością.

Podał mi rękę i odszedł. To odepchnięcie zapłaty wydało się moim towarzyszom faktem tak nadzwyczajnym, że koniuszy nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Allah czyni cuda! Ten człowiek żądał najpierw dziesięć razy więcej, niż mu się należało, a teraz nie chce nic przyjąć. Co za powód może mieć do takiej czci względem nas, że nie śmie zmniejszyć zawartości naszych kiesek?

— Jaki ma powód do tej czci? — zapytał Selim. — Nie wiesz tego?

— Nie wiem i nawet wydaje mi się to dziwne.

— Powiem ci zatem! Wtargnęliśmy do wnętrza ziemi z taką odwagą, jak nikt przed nami. Zbadaliśmy cuchnące wnętrze groty, nie ulękliśmy się ogromnych trudów tej przeprawy i wróciliśmy, zyskawszy w jego oczach sławę niezwykłej odwagi. Oto, czem zdobyliśmy podziw przewodnika; przekonał się, jak dzielnymi i odważnymi synami proroka jesteśmy, i nie śmie żądać od nas zapłaty, gdyż byłoby to z jego strony grzechem nie do darowania.

Z tą przemową zwrócił się do parobków, którzy mieli sławę jego roznieść w Siut. Był to istotnie nieoceniony blagier. Koniuszy nie wiedział, jak ma postąpić wobec tej bezczelności, i milczał, ja zaś nie uważałem za stosowne wyrywać się z jakąkolwiek uwagą.

Kiedyśmy wsiedli do łodzi i chcieli odbić od brzegu, podniósł się fakir z ziemi, zbliżył do nas i zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Effendi, zdaje mi się, że zamierzacie płynąć wgórę rzeki?

— Tak. Płyniemy wgórę do Siut.

— To pozwólcie, że usiądę także i popłynę z wami!

Wszedł i usiadł naprzeciw mnie, nie czekając na zaproszenie. Niebardzo mnie to zdziwiło, gdyż fakir jest człowiekiem, który wyrzeka się wszelkiego światowego obejścia, aby żyć tylko dla Boga. To też uważają go za ubogiego i w dodatku za świętego, i żaden dobry mahometanin niczego mu nie odmówi. Było więc rzeczą jasną, dlaczego nie czekał odpowiedzi na swoją prośbę. Przyjąłem go zresztą na łódź chętnie, gdyż wrażenie, jakie na mnie wywarł, było korzystne. Obecność jego nie

przeszkadzała mi też wcale.Usiadł, pochylił korpus naprzód, patrzył nieustannie w dno łodzi i przepuszczał kulki różańca przez palce, ruszając przytem wargami. Zatopił się znów cały w Allahu.

Rozmowy nie wszczynałem. Czułem jeszcze w piersiach powietrze jaskini, a posępne obrazy, które widziałem, tkwiły w moim mózgu i nastrajały mnie do milczenia. Wydobyłem z kieszeni dar przewodnika i odwinąłem osłonę. Cóż się ukazało? Ręka, prawa ręka kobieca, odcięta jak nożem tuż za przegubem. Była mała i delikatnej budowy, jak ręka dwunastoletniej dziewczynki, ale uwzględniając tutejsze stosunki, doszedłem do przekonania, że właścicielka jej musiała mieć lat przynajmniej siedemnaście. Barwę miała ciemnocytrynową z lekkim połyskiem bronzu. Palce były lekko pozginane, jak u ręki, która podaje coś, albo odbiera. Dłoń i grzbiet ręki miały dobrze zachowane złocenia. Pierwsze przedstawiało skarabeusza, świętego chrząszcza Egipcjan, symbol słońca i stworzenia świata. Na drugiem wyobrażony był święty wąż Ureus. Ponieważ tylko królowie i członkowie rodzin królewskich mogli się tym znakiem posługiwać, przypuszczałem, że to ręka księżniczki, a może naw et córki faraona.

Opakowanie zawierało małą kartkę, napisaną w arabskim języku: „*To jest prawa ręka Duat Nefret, córki Amenemhe'ta III*“. Jeśli te słowa zawierały prawdę, otrzymałem cenny upominek, gdyż ten Amenemhe't III był najsłynniejszym władcą z dwunastej dynastji faraonów.

A więc ręka, którą teraz posiadałem, miała być ręką

córki słynnego władcy! Żył on mniej więcej dwa tysiące lat przed przyjściem Chrystusa na świat, a zatem ta ręka dziewicza zastygła około cztery tysiące lat temu. A jednak jak cudownie się zachowała! Miała całą pełnię form młodocianych, a zabarwienie paznokci henną było jakgdyby świeże zupełnie.

Gdyby nie miała twardości mumji, możnaby pomyśleć, że odjęto ją dopiero przed chwilą młodej dziewczynie z plemienia Fellah.

Chciałem rękę zawinąć napowrót, kiedy stary fakir sięgnął po nią, aby się jej zbliska przypatrzeć. Podczas kiedy oko jego na niej spoczywało, kiwał nieustannie głową, a potem oddał mi ją i rzekł:

— To ręka z haremu jakiegoś dostojnego pana. Czem ona mogła darzyć: miłością czy nienawiścią? A co mogła otrzymywać: szczęście, czy nieszczęście? Teraz już nic nie daje i niczego nie bierze. Zabierzesz ją do siebie, by ją przechować, lecz ona przecież w proch się rozleci, bo wszystko, wszystko musi przeminąć i tylko Allah zostanie takim, jakim jest. Czy poszukujesz tu takich szczątków?

— Nie. Ale ich widok wielce mnie zajmuje.

— Cóż widziałeś w jaskini? Trupy krokodyli i węży, oraz kilka szczątków ciał ludzkich. To nic! Ja znam grobowce, w których leżą zwłoki królów i królowych obok siebie, a nikt z Europejczyków ich nie znajdzie.

— Czy oprócz ciebie nikt ich nie zna?

— Nie. Odkrył je przodek moich przodków, a wiadomość o tem przechodziła z pokolenia na pokolenie. Jam jest ostatni z mojego rodu i kiedy odejdę do Allaha, nie

będzie już nikogo, kto znałby tajemnicę.

— Nikomu jej nie wyjawisz?

— Nie. Gdyby się ktoś o tem dowiedział, przyszliby Europejczycy i ograbiliby trumny z ich cennej zawartości, gdyż oprócz zwłok znajdują się w nich rozmaite złote przedmioty, których pożądają Frankowie. Jest tam wiele, bardzo wiele trumien, znacznie więcej, niż dwieście, a na każdej z nich wymalowana figura z chustą na głowie i z sierpem lub krzywym nożem w ręku.

Były to szczegóły niezmiernie interesujące. Do insygnjów królów staroegipskich należał chopesz, miecz w kształcie sierpa, który, zarówno jak pastorał i harap, był szczególnym atrybutem władzy. Czyżby trumny, o których mówił starzec, zawierały zwłoki królewskie? Faraonowie, o ile mi wiadomo, przystrajali swe głowy chustkami, wiązanemi w charakterystyczny, ściśle określony sposób.

— To królowie i królowe, książęta i księżniczki leżą tam pochowani — dodał. — A na ścianach są figury i znaki, które Frankowie nazywają hieroglifami. Można tam całemi dniami wysiadywać, patrzyć i czytać, a mimo to wszystkiego się nie zbada.

Ten człowiek powiedział to tak obojętnie! A jednak chodziło tu o grobowce królewskie, pomniki i hieroglify pierwszorzędnej wartości. On jeden znał tajemnicę i nie chciał jej zdradzić, a jednak jaką korzyść przyniosłoby nauce takie odkrycie! Starałem się wszelkiemi siłami prowadzić dalej rozmowę na ten sam temat w nadziei, że może mi się uda skłonić go do jakich bliższych wyjaśnień. Wywijał mi się, lecz chwytałem go na nowo i tak się ta

rozmowa ciągnęła jakiś czas. Musiał zauważyć, jak żywo zająłem się tą sprawą; przerwał rozmowę, zadumał się, przypatrywał mi się przez chwilę, jakby chciał zbadać moją duszę, poczem zbliżył swoją głowę do mojej i zapytał pocichu:

— Czy mówisz prawdę, twierdząc, że nie szukasz starożytności?

— Tak.

— A jednak wypytujesz się tak pilnie o wszystko!

— To tylko żądza wiedzy. Dałbym za to wiele, bardzo wiele, gdybym mógł raz zobaczyć te trumny.

— I jakiż miałbyś z tego pożytek?

— Zaraz ci to wyjaśnię. Lubiłem zwiedzać obce kraje, aby się uczyć języków ludów, które w nich mieszkają. Mówię także językami narodów już nieistniejących. Mam nawet w domu kilka dzieł o mowie i o piśmie tych, którzy leżą w grobowcach, jako mumje. Zadałem sobie wiele trudu, by zrozumieć treść tych książek, i nie wiem, czy mi się to udało. Gdybym mógł zobaczyć twoje trumny z mumjami, przekonałbym się naocznie, czy nauczyłem się czego, czy nie. W pierwszym wypadku uradowałbym się bardzo.

Musiałem się wyrażać w ten sposób, gdyż inaczej nie byłby mnie zrozumiał. Pokiwał swą starczą głową w jedną i drugą stronę, zdawało się przez chwilę, że walczy z sobą, wkońcu szepnął znowu tak cicho, że tylko ja go mogłem zrozumieć:

— Effendi, patrzyłem w twoją przeszłość i przyszłość, znam cię i wiem, że można ci zaufać, — i dlatego ułatwię ci

tę radość, do której tak bardzo tęsknisz, pod warunkiem jednak, że aż do mojej śmierci nie powierzysz nikomu tajemnicy.

— A potem?

— Potem — tak, ale nie rychlej. Jesteś chrześcijaninem, lecz wiem, że Allah ciebie miłuje. Dlatego bądź dziedzicem tego, co ja taiłem i nosiłem w sobie, a po mojej śmierci możesz rozporządzać tą tajemnicą, jak ci się podoba. Pozostawiam ci pod tym względem najzupełniejszą swobodę.

— A kiedy spełnisz moje życzenie?

— Jutro, gdyż dziś nie mam czasu. Mam odmówić modły ofiarne. Na kilka minut przyjdę jednak do ciebie, aby ci potrzebnych wiadomości udzielić. Gdzie cię mam szukać?

— W pałacu baszy. Jestem gościem koniuszego, który w tej chwili siedzi obok ciebie na ławce. Mogę liczyć na pewno, że przyjdziesz?

— Przyjdę. Nie mówmy już teraz o tem!

Zapadł znowu w poprzednie zamyślenie, a ja poszedłem za jego przykładem. Myślałem nad przyczyną okazanego mi zaufania. Nie miałem w sobie nic takiego, coby go mogło skłonić do wyjawienia mi tajemnicy, żadnej też nie mogło mu to przynieść korzyści. Długo mozoliłem się nad rozwiązaniem zagadki, aż wkońcu zrodziło się w mojej duszy podejrzenie, że ten starzec żywi jakieś niedobre względem mnie zamiary. Ale dlaczego? Wszakże mu nic złego nie uczyniłem. Odrzuciłem tę myśl czem prędzej; okazywał mi przecież tyle przychylności, a czcigodne jego

oblicze nie miało ani jednego rysu, pozwalającego domyślać się podstępu i chytrości.

Kiedyśmy wylądowali na przedmieściu w Siut, rzucił na pożegnanie słów kilka i zniknął między ogrodami. Podążyliśmy ku pałacowi, gdzie na nas czekano z obiadem. Byłbym chętnie przeszedł się jeszcze po mieście, musiałem jednak zostać w domu i czekać na fakira. Przyszedł wkrótce po modlitwie popołudniowej, która według naszego sposobu liczenia przypada na godzinę trzecią. Przyjąłem go w swoim pokoju, gdzie stosunkowo największą mogliśmy mieć swobodę. Wstrzymał mnie, kiedym chciał zawołać na służącego, aby mu podał fajkę i kawę, i zaraz mi powód swej wstrzemięźliwości wyjaśnił:

— Każdemu wiernemu wolno palić, gdyż Allah jest wyrozumiały na ludzkie słabości, ale człowiek głęboko wierzący wstrzymuje się od tytoniu. Woda nilowa najzupełniej zaspakaja moje pragnienie, nie rozumiem więc, dlaczego miałbym pić kawę. Odżywiam się postem i modlitwą. Czy i pośród chrześcijan są tacy ludzie?

— Tak. Mieliśmy i mamy wielu pobożnych mężów, którzy się wyrzekli uciech i rozkoszy świata, aby Bogu wyłącznie się oddać.

— Chwała im, gdyż im bardziej oddala się dusza od ziemi, tem bardziej zbliża się do nieba. Ale nie przyszedłem tu, aby rozważać razem z tobą rzeczy niebieskie, lecz żeby pomówić o grobach królewskich. Czy cię jeszcze nie odeszła ochota, aby te groby zobaczyć?

— Nie mam powodu wyrzekać się tego pragnienia.

— Więc przygotuj się jutro na godzinę jedenastą przed

południem. Czekam na ciebie przed bramą.

— Dokąd pojedziemy?

— Mamy tylko godzinę drogi pieszo.

— To tak blisko, a jednak ty jeden znasz te grobowce?

— Tak, ja jeden, gdyż właściwości tego miejsca są takie, iż nikomu nie przyjdzie nawet na myśl, żeby się tam mogły dawne grobowce znajdować.

— Powiedz-że mi jeszcze, jak się mam do tej drogi przygotować?

— Weź ze sobą tylko sznur i pochodnię, jakich używałeś dziś w grocie Maabdah.

— Tylko jedną? — Tak, jedna wystarczy. Nie mam jednak nic przeciw temu, abyś wziął ich więcej.

— Jak długi powinien być ten sznur?

— Taki, żeby trzej mężczyźni, wchodzący pokolei do głębi, mogli się do niego przywiązać. To zabezpieczenie jest konieczne, ażeby jeden, w razie upadku, mógł być zatrzymany przez drugich.

— Trzej? Więc bierzesz jeszcze kogoś ze sobą?

— Nie. Nie ja, lecz ty to uczynisz. Przyda ci się służący.

— Sądziłem, że tylko mnie jednemu powierzysz tę tajemnicę.

— Potrzeba nam pomocy osoby trzeciej i dlatego, chcąc ci dotrzymać przyrzeczenia, wyjawię ją jeszcze jednemu człowiekowi prócz ciebie. Każę mu przysiąc, że słowa nikomu nie powie. Ty przecież masz służącego?

— Nie mam.

— Uważałem tego długiego człowieka, który był z tobą w Maabdah, za twego służącego.

— To służący mego przyjaciela.

— To tak samo, jakby był twoim. Nie mógłbyś go teraz zawołać? Chcę z nim pomówić.

Posłałem po Selima, który też wkrótce przyszedł. Fakir zmierzył go badawczym wzrokiem i zapytał:

— Jakie twoje imię?

— Co? Nie znasz mnie jeszcze? — brzmiała dumna odpowiedź. — Imię moje znają we wszystkich wsiach i namiotach, a długość jego równa się całemu Nilowi. Kto całego mego imienia nie chce wymawiać, coby mu dużo czasu zabrało, ten nazywa mnie Selimem.

— Dobrze! A zatem, powiedzże mi, Selimie, czy jesteś odważny?

— Odważny? Jak lew, albo raczej jak dziesięć lwów, jak sto, jak tysiąc lwów. Jestem najmężniejszym wojownikiem mojego szczepu i pójdę w zawody z bohaterami całego świata.

— Mimo to jednak wystawię cię na próbę.

— Uczyń to! Jeszcze nie urodził się człowiek, którego męstwo można z mojem porównać.

— Byłeś w jaskini Maabdah, więc się podobnych podziemi nie obawiasz?

— Wcale nie. Nie bałbym się nawet piekła razem ze wszystkimi djabłami.

— Bardzo mi to na rękę, bo zwiedzisz z nami drugą taką jaskinię.

— Więc chodź prędzej i pokaż mi ją! Jestem gotów dotrzeć aż do jej krańców.

— Cierpliwości! Pójdziemy tam dopiero jutro, nikomu

jednak słowa nie wolno ci o tem powiedzieć. Czy możesz mi przysiąc, że będziesz milczał?

— Oczywiście!

— W takim razie ten effendi powie ci resztę. Jestem już gotów i muszę odejść. Jutro o czasie oznaczonym będę stał przed bramą. Tymczasem milczenie! Jeśli was zapytają, dokąd iść chcecie, powiedzcie, że chcecie miasto obejrzeć.

— Ja nic nie powiem — rzekł Selim. — Jestem najdostojniejszym mężem mojego szczepu i nikomu nie pozwalam się nagabywać. Idę, aby chronić mego effendiego. Nigdzie on się beze mnie obejść nie może, pójdę z nim zatem i do tej drugiej jaskini. Idź więc i bądź dobrej myśli! Na mnie możesz liczyć całkowicie.

Przy tych słowach wykonał majestatyczny ruch ręką, jak król, żegnający ostatniego ze swoich poddanych. Gdy fakir odszedł, zwrócił się Selim do mnie:

— Przyjaciel godny zaufania jest największą pociechą w biedzie i najsłodszem ukojeniem dla słabego. Jestem twoim przyjacielem i poświęcę się dla ciebie, ażeby cię uchronić od niebezpieczeństw, których źródło leży w przeszłości, i od możliwych nieprzyjemności dni przyszłych. Pod mą opieką żyć możesz spokojnie; pod mą osłoną znajdziesz spokój ze strony wszystkich nieprzyjaciół ciała i duszy. Gdy wyciągnę rękę nad tobą, nic ci nie zrobią ludy całego świata, a dopóki spoczywa na tobie oko mojej miłości, świecić ci będzie tysiąc słońc i miljony gwiazd dobrobytu. Jestem obrońcą wszystkich obrońców i bronionych. Władza moja jest jako...

— Jako nic, zupełnie nic! — przerwałem.

— Milcz już raz i daj pokój tym kłamstwom! Czyż nie czujesz, że się ośmieszasz?

— Ośmieszam? — rzekł z oburzeniem. — Effendi, tego nie spodziewałem się po tobie! Lekceważysz moją życzliwość i rozbijasz zgodność serc naszych. Przywiązałem się do ciebie wszystkiemi czynnikami mego ziemskiego bytu i poję cię zaletami wielkości, użyczonemi mi przez Allaha. Ty, zamiast mi być wdzięcznym, mówisz o kłamstwach i o śmieszności! To mnie zasmuca aż do kości, i burzy równowagę całej mojej opłakanej i biednej istoty!

Kiedy to mówił, łzy stanęły mu w oczach. Czyżby ten szczególny człowiek kochał mnie rzeczywiście tak silnie? Czy samochwalstwo stało się tak dalece jego drugą naturą, że się go już nie mógł pozbyć, ani pojąć, że prawił głupstwa? Przypomniałem mu więc po przyjacielsku dzień wczorajszy:

— Czyż nie pamiętasz, co było wczoraj? Przypomnij sobie, co mi wyznałeś, kiedy ci oddawałem twoich sto piastrów?

— No i cóż ci wyznałem? Nie wiem o niczem — odrzekł tonem prawdy i najgłębszego przekonania.

— Wyznałeś mi, że nie potrafisz być moim obrońcą.

— Panie, nie martw mnie znowu! Powiedziałem to, bo chciałem ci być posłusznym, i jestem ubogim człowiekiem, którego kieska ginie z wycieńczenia, jak jaskółka, kiedy w powietrzu much znaleźć nie może. Tylko dlatego przeszły takie słowa przez otwór ust moich. W duszy jednak musiałeś przyznać, że tylko z największym trudem zdołałem powtórzyć twoje własne słowa, jestem bowiem

rzeczywiście człowiekiem, który postanowił sobie bronić cię wiernie od wszelakich niebezpieczeństw. Zapytaj mego przyjaciela! On ci poświadczy, że otaczam cię miłością ojcowską i ciągle myślę o tobie.

— Jakiego przyjaciela?

— Tego, z którym tutaj przybyłem i z którym mieszkałem u ogrodnika, zanim ciebie spotkałem. Wyrządziłem mu wielką przykrość tem, że go opuściłem, aby przenieść się do ciebie, gdyż wysiadł w Siut jedynie z miłości ku mnie. Musieliśmy czółnem dostać się na brzeg, gdyż statek nie zatrzymuje się tutaj. I on także pragnął ciebie zobaczyć, gdyż opowiedziałem mu o tobie wiele pochlebnych rzeczy.

— A dlaczegóż dotąd u mnie się nie pokazał?

— Bo nie śmiał ci się naprzykrzać. Ty jesteś dostojnym i uczonym panem, a on tylko biednym handlarzem. Ale mimo to ucieszyłaby cię i zabawiła jego obecność, gdyż ma tak zręczną rękę i umie takie mnóstwo sztuczek, że mógłby na pewno pójść w zawody z najlepszym muza'birem.

Te słowa mnie uderzyły. Zapytałem o statek, którym przyjechali obydwaj, i dowiedziałem się ku memu zdziwieniu, że to ten sam, na którego pokładzie widziałem kuglarza. Kazałem sobie tę osobę dokładnie opisać i otrzymałem odpowiedzi, które mnie najzupełniej przekonały, że kuglarz, mój niedoszły zabójca, i przyjaciel Selima to jedna i ta sama osoba.

A więc ten człowiek znajdował się w Siut! Wobec tego nie można było wątpić, że nie spuści mnie z oczu i wszystkich środków wypróbuje, aby przecież ponowić

nieudały zamach.

— A więc rozmawiałeś o mnie z tym handlarzem? — spytałem. — Czy wypytywał się o moje stosunki i o cel podróży?

— Tak, i to bardzo dokładnie.

— I powiedziałeś mu, że w Siut czekam na Murada Nassyra?

— Oczywiście! Czemu nie miałbym powiedzieć?

— Powinieneś był milczeć, gdyż on wiedział o tem już przedtem.

— Nie, effendi. On wogóle nic o tobie nie wiedział.

— Na pokładzie tej dahabijeh, którą płynąłem, słyszał, że mam zamiar wylądować w Siut. Tylko dlatego ci nie powiedział, iż mnie zna, że miałeś być tem okiem, przy pomocy którego chciał mnie obserwować.

— Mylisz się! Gdyby tak było, niewątpliwieby mnie o tem powiadomił, bo to człowiek bardzo szczery i miły. Jestem największym znawcą duszy, jakiego szczep mój wydał, i w sądzie o ludziach nigdy się nie mylę.

— W tym jednak wypadku nietylko się zawiodłeś, ale poprostu sromotnie cię oszukano. Opowiedziałem ci, w jaki sposób na dahabijeh godzono na moje życie; otóż ten szczery i miły przyjaciel jest właśnie owym kuglarzem, który zabrał mi portfel.

— *Allah 'l Allah!* — zawołał przerażony. — To nie może być!

— A jednak jest to szczera prawda. Przyjechał do Siut, aby czekać tutaj na mnie. Przypadek was zetknął, on zaś wyzyskał tę okoliczność, ażeby przy twojej pomocy z oczu

mnie nie spuszczać, podczas gdy sam był dla mnie niewidzialny. Powiedziałeś mu oczywiście, że spotkałeś się ze mną i że mieszkam u koniuszego?

— Tak, lecz on prosił mnie, żebym tobie nic o tem nie mówił.

— O, bardzo wierzę! Czy później, mianowicie od chwili, kiedy zamieszkałeś u marszałka, spotykałeś się z tym miłym przyjacielem?

— Spotkałem się z nim wczoraj na godzinę przed nocną modlitwą. Powiedział mi, że będzie stał na moście, na którym cię tutaj pierwszy raz zobaczyłem, więc poszedłem do niego.

— Co chciał wiedzieć?

— Pytał, co ty dziś robisz, a ja powiedziałem mu o zamiarze zwiedzenia grobów w Maabdah.

— Hm! A co jeszcze?

— Nic więcej. Przechodziło tamtędy wielu ludzi, wśród których mogłeś się przypadkiem znajdować; dlatego rozmawiał ze mną tylko krótką chwilę.

— Widzisz zatem, że unika i boi mnie się widocznie. Jaki ty byłeś nierozważny! Gdyby to był człowiek uczciwy, z pewnością nie uciekałby przede mną. Dziwię się, że to w tobie żadnego podejrzenia nie wzbudziło. Kiedy się z nim. znowu spotkasz?

— Mam do niego przyjść do domu ogrodnika dopiero wtedy, kiedy usłyszę, że chcesz stąd odjechać. To mam mu donieść.

— Niemądrze postąpiłeś, wcale niemądrze, ale błąd da się może naprawić.

— Effendi, nie łaj mnie! Cały świat wie, że jestem najmędrszym synem mojego szczepu, wszechwiedzy jednak nie możesz ode mnie wymagać. Jakżeż mogłem przypuszczać, że to ten kuglarz! Zresztą, nie widziałeś go jeszcze, znasz go tylko z mojego opisu i kto wie, czy się nie mylisz. Nakreśliłem ci wprawdzie mistrzowski obraz jego osoby, być może jednak, że ty fałszywie wyobraziłeś sobie różne szczegóły, i dlatego obstaję przy swojem zdaniu, że przyjaciel mój jest naprawdę moim przyjacielem, a nie wymienionym przez ciebie muza'birem.

— Wkrótce się o prawdzie przekonasz. Ten człowiek będzie szukał sposobności, aby się skrycie do mnie dostać, jeśli zaś jej nie znajdzie, to podąży za mną, i właśnie dlatego musisz go natychmiast zawiadomić o terminie mojego odjazdu. Muza'bir prędzej czy później zamach na mnie powtórzy; rozsądek nakazuje mi więc, aby go w tem uprzedzić. Pójdziemy do niego bezzwłocznie.

— To nie może być, effendi, bo rozgniewałby się na mnie!

— A cóż ciebie gniew jego obchodzi?

— O, bardzo wiele! W gniewie jest podobny do lwa. Przekonałem się o tem, kiedy mu opowiedziałem, że pomogłeś mi schwytać trzy strachy.

— Ja tobie?

— Zapewne.

— Przypomnij sobie lepiej! Kiedy pochwyciłem oba widma, a trzecie umknęło, leżałeś jeszcze pod grubym kocem w sieni.

— Effendi, nie przekręcaj wypadków! Mam pamięć

niezwykle bystrą, — nikt z mojego szczepu takiej nie posiada — więc wiem bardzo dobrze, jak się to stało. Opowiedziałem memu przyjacielowi, że, kiedy pokonałem i skrępowałem najstarszego stracha w twojej sypialni, poznałem w nim mokkadema świętej Kadirine. Na to wpadł mój przyjaciel w taką złość, że pochwycił pistolet i chciał mnie zastrzelić. Musiałem mu przyrzec, że nigdy nie będę opowiadał o tem bohaterstwie. Taki on w gniewie straszny. Jeśli przyjdę z tobą do niego, domyśli się, że mówiłem ci o nim, a ponieważ zakazał mi tego surowo, obawiam się, że mnie na miejscu zastrzeli.

— Nie lękaj się o to, gdyż nie pozwolę zastrzelić mego obrońcy.

— To ładnie z twojej strony, bo dowodzi, że jesteś człowiekiem wdzięcznym. Mimo to nie mogę dopuścić, abyś poległ od kuli, dla mnie przeznaczonej.

— Ja się nie boję; ale zdaje mi się, że ciebie strach ogarnia?

— Mnie, effendi? Dusza twoja pogrążona w błędzie po uszy. Więc sądzisz, że ja, największy z bohaterów świata, mógłbym się czego lękać?

— No dobrze, więc nie traćmy słów daremnie! Kto się boi, zostanie, kto ma odwagę, pójdzie. Ja się nie boję, więc idę. A ty...

Na to wyprostował się jeszcze bardziej, uderzył się pięścią w pierś i zawołał:

— A ja? Oczywiście, że idę! Stanę przed tobą, by cię mojem ciałem osłonić, i nie ustąpię, choćby mój przyjaciel tysiącami kul ciało moje przestrzelił i na sito zamienił!

Chodźmy!

A zatem mi się powiodło. Poszliśmy. Selim kroczył na swoich długich nogach tak szybko, że musiałem hamować jego skwapliwość. Im bliżej jednak byliśmy celu, tem bardziej zwalniał kroku, a kiedy weszliśmy w uliczkę, przy której mieszkał ogrodnik, tak bardzo zmalały kroki Selima, że dziecko mogłoby go z łatwością wyprzedzić.

— Effendi, — rzekł chytrze — teraz dzień jeszcze. Czy nie lepiej zaczekać, dopóki się nie ściemni? W ciemności i przyjaciel mój nie będzie tak celnie mierzył.

— Wcale nie będzie mierzył. Nie jesteśmy na pustyni, lecz w mieście, w stolicy górnego Egiptu. Nikt tu tak łatwo nie odważy się strzelić do drugiego. Zresztą, wszystko mi jedno, co on uczyni, bo ty przecież dasz się za mnie podziurawić.

Zatrzymał się i odrzekł prędko:

— Tak, uczynię to z całego serca, ale jeszcze nie dzisiaj, jeszcze nie dzisiaj! Jeżeli ktoś idzie na śmierć, powinien iść z rozwagą i z namysłem.

— To znaczy, że należy dać się podziurawić z rozkoszą i przyjemnością. O Selimie, Selimie, jakżeż się zawiodłem na tobie! Nazywasz siebie bohaterem, a nie chcesz zginąć od szybkiej kuli i wolisz zwolna więdnąć i zamierać, jak chore ziele, które potem zgnije. Czy to jest bohaterstwo?

— Nie żartuj! Ja biorę tę sprawę bardzo poważnie. Nie boję się kuli; chcę być zastrzelonym bezwarunkowo, lecz nie wtedy, kiedy to nieprzyjacielowi na rękę. Czyż nie byłaby szkoda, gdyby memu bohaterstwu tak przedwcześnie i bez potrzeby kres położono? Idź, a ja pójdę

za tobą i z szaloną odwagą będę wstępował w ślady stóp twoich, — nie pokażę ci pleców. Zbierz wszystkie zmysły i myśli, bo w najbliższym domu mieszka u ogrodnika mój przyjaciel!

Ten „dom“ był to raczej niski, wąski, zbudowany z namułu nilowego barak bez okien. Ściany jego były popękane, a drzwi wisiały krzywo na skórzanych zawiasach. Nie były zaryglowane, więc odepchnąłem je i wszedłem w ciasny, ciemny kurytarz, gdzie otoczyły mnie najróżnorodniejsze, niebardzo przyjemne wonie. Z tego kurytarza wychodziło się na małe podwórko, otoczone ze wszystkich stron kupami namułu: były to ludzkie mieszkania, choć zasługiwały zaledwie na nazwę chlewów.

W samym środku ogródka siedzieli na kupie gruzów czterej mężczyźni, trzej starsi a jeden młodszy, w którym poznałem kuglarza. Na mój widok zerwał się i zniknął w przeciwległym otworze, mającym przedstawiać drzwi. Chciałem pobiec za nim, lecz trzej starsi powstali i zastąpili mi drogę.

— Kim jesteś i czego chcesz tutaj? — spytał jeden z nich, prawdopodobnie pan domu.

— Kim jestem, to powie ci mój towarzysz, którego znasz, bo mieszkał u ciebie, — odrzekłem i odwróciłem się, aby wskazać na Selima. „Największego bohatera świata“ nie było jednak przy mnie; wolał nie wchodzić za mną, czego w mrokach kurytarza nie zauważyłem. Dodałem więc: — Jestem znajomym Selima, który aż do onegdaj był twoim gościem. Czeka przed drzwiami; zawołaj go do wnętrza, a ja tymczasem pomówię z kuglarzem.

— Tutaj niema kuglarza!

— A i owszem! Siedział właśnie z wami; oddalił się szybko na mój widok, aby mi, jako swemu najlepszemu przyjacielowi, przygotować uroczyste przyjęcie. Puść mnie do niego, ażebym się nasycił widokiem jego oblicza.

Odsunąłem starca i wszedłem szybko do otworu. Nie uważałem tego za niebezpieczne, a wynik potwierdził moje zdanie: kiedy się tam wsunąłem, kuglarza już nie było. Znajdowałem się w izbie tak niskiej, że głową dotykałem niemal powały. Miała ona długość i szerokość podwórka. Naprzeciwko otworu, którym wszedłem, znajdował się drugi, przez który łotr się oddalił. Wyszedłem tamtędy i stanąłem w ogrodzie ogrodnika. Nie było w nim ani drzewa, ani krzaków. Osiem małych grządek, zasadzonych wyłącznie cebulą i czosnkiem, zajmowało całą długość i szerokość ogrodu. Dochód z niego mógł właścicielowi chyba jedynie opłakany byt zapewnić. Nie było tu ani jednego kącika, w którym kuglarz mógłby się ukryć. Kiedy zbadałem ziemię, zobaczyłem ślady stóp muza’bira na rozpulchnionym gruncie ogródka. Widocznie przebiegł tędy, ażeby przez niski mur dostać się do sąsiedniego ogrodu. Nie myślałem ścigać go dalej. Nie miałem zamiaru chwytać, chciałem go tylko przekonać, że wiem o jego obecności, i udowodnić mu, że się go nie boję. Chciałem mu wreszcie napędzić strachu i zmusić go w ten sposób do opuszczenia Siutu.

Wróciłem na podwórze i zastałem tam Selima i gospodarza. Starzec mówił coś z gniewem do mojego „obrońcy“, on zaś stał w ciemnej sieni — nie miał odwagi

wejść na podwórze — i rzucał trwożne spojrzenia w stronę, w której zniknąłem w pościgu za kuglarzem. Widząc mnie, wracającego cało, nabrał zmiejsca odwagi. Opuścił swoje osłonięte stanowisko, wyszedł na podwórze i zawołał z triumfem:

— Oto jest mój effendi! Wiedziałem, że posłucha moich wskazówek. Prawda, effendi, że widziałeś kuglarza?

— Tak — odrzekłem. Teraz wierzysz, że to muza'bir?

— Właśnie powiedział mi mój gospodarz, że gość jego jest kuglarzem, a nie handlarzem. Czynił mi wyrzuty, że go przed tobą zdradziłem, sam jednak jesteś świadkiem, iż od początku twierdziłem, że to muza'bir. Jestem najchytrzejszym człowiekiem mojego szczepu i mam oczy, przenikające skały i góry. Nikt mnie oszukać nie zdoła i umiem ludzi rozróżniać. Gdzie ten złoczyńca, który cię chce zamordować?

— Zniknął.

— A zatem uciekł! Ujrzawszy ciebie, przeczuł zaraz, że ja także nadejdę i popędził z rozpaczy. Dlaczego pozwoliłeś mu umknąć? O, effendi, gdybym mógł był przypuszczać, że się tak źle spiszesz, sam byłbym za nim pognał, a ciebie zostawił na dworze. Mnieby się z pewnością nie wyśliznął, bo sam mój widok powaliłby go na ziemię.

Drugi i trzeci starzec cofnęli się w kąt, nie chcąc się mieszać do tej całej sprawy. Tylko gospodarz stał obok nas. Wysłuchał z zuchwałą miną wywodów pyszałka i rzekł:

— Co ty gadasz? Czy mam się ciebie pytać, kogo mi wolno w domu przyjmować?

— Nie, — odpowiedziałem za Selima — lecz to wielka

różnica, czy przyjmujesz pod swój dach uczciwego człowieka, czy też mordercę. W tym drugim wypadku grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

— Zachowaj te uwagi dla siebie; ja ich nie potrzebuję! Wtargnąłeś bez pozwolenia na mój dziedziniec i, jeśli się w tej chwili nie oddalisz, wyrzucę cię za drzwi. Psów chrześcijańskich nie zniosę w swoim domu! Ze względu na jego wiek byłbym to może przyjął spokojnie, lecz ton, którym mówił, był tak bezczelny, że postanowiłem nie szczędzić mu nauczki, choćby dlatego, aby kuglarz nie sądził, że się jego towarzyszów przestraszyłem. To też odpowiedziałem:

— Twoja osoba mnie nie obchodzi. Powinieneś jednak wiedzieć, że kto przyjmuje u siebie lokatora, musi się także pogodzić z tem, że do niego goście będą przychodzili. Pomyliłeś się zaś grubo, sądząc, że wolno ci miotać mi w twarz obelgi. Ponieważ szukam u ciebie kuglarza, a on uciekł, więc ty mi za niego odpowiesz. Przedewszystkiem chcę wiedzieć, jak długo jeszcze będzie u ciebie mieszkał?

— Jeśli nie odejdziesz natychmiast, to cię wyrzucę! Nie zniosę u siebie brudu i nieczystości chrześcijanina. Należę do świętej Kadirine, a widok twój równa się dla mnie widokowi gnijącego trupa, którego się zdaleka obchodzi. Zabieraj się natychmiast. Precz mi z oczu!

Chwycił mnie oburącz za piersi, chcąc mnie z podwórza wyrzucić.

— Puść! — zawołałem. — Jeśli chrześcijanin napełnia cię taką odrazą, dlaczego mnie dotykasz? Precz z rękami, bo pokażę ci zaraz, jak mało obawiam się twej świętej

Kadirine!

Już na początku całego zajścia cofnął się Selim wtył i, myśląc o ucieczce, zapomniał całkiem, że miał być moim obrońcą. Gospodarz nie zważał na moją groźbę, popychał mnie i szarpał, nie mógł jednak ani na cal ruszyć mnie z miejsca. Wreszcie zawołał:

— Za drzwi! Zmiażdżę cię, jeśli się natychmiast nie wyniesiesz!

Groźbę swą przyozdobił całym szeregiem obelżywych przezwisk, w które tak bardzo język arabski obfituje. Tego płazem puścić nie mogłem i z w interesie wszystkich chrześcijan i cudzoziemców musiałem mu dać nauczkę. Pochwyciłem go więc z prawej i lewej strony za biodra, i szarpnąłem tak silnie, że musiał mnie puścić, potem podniosłem go wgórę i rzuciłem na ową kupę rumowiska, na której siedział w chwili, kiedy tu wszedłem. Teraz legł tam bez ruchu, jak nieżywy. Na ten widok Selim szybko wystąpił naprzód i zawołał głosem triumfującym:

— Brawo, effendi! Pokazałeś, że jesteś silny, i udowodniłeś temu zuchwalcowi, że mu brak szpiku w kościach. Niech się ośmieli jeszcze raz powstać przeciwko tobie, a wtedy ze mną będzie miał do czynienia!

Nie zważałem na krzykacza i przystąpiłem do starca, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie potłukł się niebezpiecznie. Kiedy potrąciłem go nogą, otworzył oczy, usiadł powoli i zaczął jęczeć:

— *Allah, Allah!* Czemu nie każesz zapaść się niebiosom, skoro chrześcijanin porywa się na najlepszego z twych wiernych? Dusza moja rozluźniona, a ciało trzęsie się ze

złości wobec gwałtu, który mnie spotkał.

— Twoja dusza rozluźni się jeszcze bardziej, tak bardzo, że wyjdzie z ciała, jeśli poważysz się choćby jedno jeszcze słowo wymówić, któreby mnie dotykało, — odpowiedziałem. — Pytam cię po raz ostatni, jak długo jeszcze ten kuglarz ma pozostać u ciebie. Dawaj odpowiedź, bo gwałtem ją sobie wezmę!

Odwaga opuściła go całkiem i stęknął:

— Idź, idź, proszę cię o to bardzo! Członki mam połamane, krew mi zastygła w żyłach. Nie chcę o tobie nic wiedzieć!

— Pójdę, ale dopiero wtedy, gdy mi dasz żądaną odpowiedź. Dałeś u siebie przytułek mordercy, człowiekowi godzącemu na moje życie. Kiedy przybyłem, aby zwrócić ci na to uwagę, chcesz mnie wyrzucić, zamiast mi podziękować, że cię po przyjacielsku ostrzegam. Zelżyłeś mnie i rękę na mnie podniosłeś; dałeś tem dowód, że jesteś jego wspólnikiem. Jeśli to doniosę władzy, zamkną cię i zakosztujesz bastonady. Okażę się jednak łaskawym i oszczędzę cię, jeśli mi dasz odpowiedź, której żądam.

— Panie, — odrzekł — jeśli wszyscy chrześcijanie są tacy skorzy do gwałtu, jak ty, to państwo Islamu musi upaść. Kuglarz chciał zabawić u mnie aż do twego odjazdu.

— Tyś wiedział, że on godzi na moje życie?

Nie odpowiedział nic; milczenie jego więc musiałem uważać za odpowiedź potwierdzającą.

— Czy muza’bir ma zamiar mnie ścigać, skoro stąd odjadę?

— Tak.

— Na którym statku?

— To jeszcze nieoznaczone. Jest wybitnym członkiem Kadirine i każdy reis będzie na jego usługi.

— To mi wystarcza. Gdy wróci, powiedz mu, że, jeśli natychmiast nie opuści Siutu, zawiadomię władzę i każę go aresztować. Jeśli nie usłucha tego wezwania, przyniesie to szkodę także i tobie, bo będziesz wplątany w śledztwo, Powiadam ci otwarcie, że każę pilnować twego domu i ciebie. Pamiętaj również o tem, że nasi konsulowie lepiej umieją nas bronić, aniżeli was wasze władze. Niech Allah wzmocni twój słaby rozum i dozwoli ci pojąć, od czego twoje osobiste dobro zależy!

Odwróciłem się i wyszedłem z Selimem z lepianki ogrodnika.

Na ulicy mój sławetny obrońca rzekł:

— Effendi, muszę ci wystawić dwa świadectwa, jedno złe, a drugie dobre. Złe za to, że pozwoliłeś ujść kuglarzowi, a dobre za to, że dość dzielnie postąpiłeś sobie z gospodarzem. Moja obecność dodała ci odwagi i dzięki temu starłeś go w proch, podczas gdy druzgocące spojrzenie oka mego powstrzymało go od oporu. Nie pozwól upaść swemu męstwu, a wtedy zdobędziesz sobie moje uznanie, a może nawet pochwałę!

— Dobrze! Lecz najśmielszy z bohaterów nie odważył się wejść do domu, a gdy posłałem po niego, został we drzwiach, ażeby w razie niebezpieczeństwa uciec czem prędzej.

— Uciec? Cofnij natychmiast to słowo! Nie uciekałem nigdy jeszcze i nie ucieknę, a słowo „*ucieczka*“ jest mi

zupełnie obce. Allah dał mi już przy urodzeniu taką zajadłość, że muszę z całych sił powstrzymywać się od zabijania pięciu, lub dziesięciu ludzi na dzień.

— Czemuż jednak tak niepotrzebnie panujesz nad sobą wtedy, kiedy należałoby okazać odwagę? Selimie! Zaiste jesteś odważny tylko wtedy, kiedy ci żadne niebezpieczeństwo nie grozi!

— Nie mów w ten sposób, effendi! Jesteś jeszcze za młody, aby ocenić trafnie każde położenie życiowe i warunki chwili. Ja natomiast zawsze szybko orjentuję się w teraźniejszości i patrzę w przyszłość. Ilekroć powściągam swoją waleczność, zapewne nie czynię tego bez koniecznej przyczyny. Szkoda, wielka szkoda, że słabość twoja pozwoliła ujść kuglarzowi!

Ponieważ szliśmy szybko, sprzeczka nasza trwała przez całą drogę. Rozstaliśmy się dopiero na dziedzińcu pałacu; on udał się do marszałka, ja zaś do mego mieszkania, skąd wkrótce wywołano mnie do wieczerzy, w której wziął udział i syn koniuszego. Zdjął już chustkę z głowy, gdyż niewielka szrama zaczynała się goić ku ogromnej radości całej rodziny.

Po wieczerzy przyszedł marszałek z Selimem; prócz tego zaproszono także kilku znajomych, chcących poznać obcego effendiego. Musiałem im odpowiadać na setki i tysiące pytań, a ponieważ odpowiedzi moje zyskały mi najzupełniejsze ich uznanie, ogłoszono mnie wkońcu, pomimo mego oporu, najmędrszym i najuczeńszym człowiekiem na świecie. Na większość ich pytań odpowiedziałby każdy zdolniejszy uczeń z łatwością, nie

zasłużyłem więc bynajmniej na te zaszczyty. Kiedyśmy się pożegnali, podał mi Selim rękę i, widocznie zazdroszcząc mi powodzenia, rzekł tak, aby go wszyscy słyszeli:

— Effendi, byłeś w dość wielu krajach i nazbierałeś sporo pięknych doświadczeń i wiadomości. Jeśli kiedyś będę miał czas, to powiem ci, które kraje i ludy korzystały z blasku mej obecności. Znam wszystkie wsie i miasta na ziemi, i chętnie uzupełnię twoje wiadomości mojemi, ażebyś kiedyś, wróciwszy do domu, wywarł na swoich wrażenie człowieka, którego wiadomości nie mają braków zbyt wielkich. Niechaj Allah użyczy ci dobrej nocy!

Rzekłszy te słowa, odszedł z miną człowieka, który drugiemu wyświadczył nadzwyczajną a niezasłużoną łaskę. Wszyscy wyszli za nim, uśmiechając się pobłażliwie; wiedzieli bowiem narówni ze mną, co o tem wszystkiem sądzić. — —

1. ↑ *Wzgórek tajemnicy.*
2. ↑ *Szatan.*
3. ↑ *Święty.*

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Karol May i tłumacza: anonimowy.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Pod Siutem. Powieść wschodnia

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Anwar2
- NiktWażny
- Igor123121
- Anagram16
- Seboloidus
- Piotr433
- Wieralee
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org

2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium